

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 27 października 1917.** **Nr. 43**

Z frontów bojowych.



Wyprawa wojsk niemieckich na wyspę Ozylię. (Fot. Bufa).

Rada regencyjna.

Blizko po upływie roku od pamiętnego manifestu z dnia 5. listopada 1916 roku zapowiedziane



Rada regencyjna: Ks. arcybiskup Aleksander Kakowski.

tym manifestem państwo polskie otrzymało swoją władzę zwierzchniczą w postaci kolegialnej regencyi. W dniu 16 b. m. cesarz Karol wystosował do generał gubernatora lubelskiego, hr. Szeptyckiego, następujące pismo odręczne:

Kochany hrabio Szeptycki!

Zgodnie z moim dostojnym sprzymierzeńcem, Cesarzem niemieckim, postanowiłem w myśl artykułu 3 patentu z dnia 12. września 1917 r. o władzy państwowej w Królestwie Polskiem, wprowadzić na urząd, jako członków Rady regencyjnej w Królestwie Polskiem Arcybiskupa Metropolitę warszawskiego ks. Aleksandra Kakowskiego, prezydenta Warszawy księcia Zdzisława Lubomirskiego i właściciela dóbr w Małuszynie Józefa Ostrowskiego i upoważniam Pana do wykonania tego aktu łącznie z cesarskim niemieckim generalnym gubernatorem w Warszawie. *Karol* mp.

Równobrzmiący telegram otrzymał jenerał gubernator warszawski od cesarza Wilhelma.

Mianowanie Rady regencyjnej kładzie kres „bezkrólewiu", jakie zapanowało w Królestwie Polskiem po ustąpieniu Rady Stanu i rozpoczyna nowy okres w trudnem dziele odbudowy państwa polskiego. Czy będzie on owocniejszy od poprzednich? Najbliższa przyszłość odpowie na to pytanie. Dziś można jedynie stwierdzić, że trzej mężowie, na których spoczął historyczny, lecz niezmiernie trudny w obecnych warunkach zaszczyt kładzenia kamienia węgielnego pod nową polską budowlę państwową, mają zadanie o tyle wdzięczniejsze, iż cieszą się zaufaniem całego narodu polskiego i mogą liczyć na jego poparcie. Ten fakt każe też wróżyć, że Rada regencyjna, odpowiednio do królewskiej godności, jaką wzięła na swe barki, potrafi zatoczyć krąg istotnej władzy i przezwyciężyć te wszystkie trudności, o które rozbijały się dotychczasowe poczynania przy realizacyi manifestr z dnia 5 listopada.

O dostojnych członkach Rady regencyjnej pisma codzienne podają następujące szczegóły:

Ks. Aleksander Kakowski, urodzony dnia 5 go lutego 1862 roku w Dębinach, w powiecie pułtuskim, po ukończeniu szkół średnich w Pułtusku i Warszawie, wstąpił jako 15 letni młodzieniec w r. 1878 do warszawskiego seminaryum duchownego. Ukończył je w roku 1882; jako celujący uczeń wysłany był, w celu dalszego kształcenia się, do Akademii duchownej w Petersburgu. Po rocznym pobycie nad Newą przeniósł się do uniwersytetu gregoryańskiego w Rzymie. Wszechnicę tę ukończył w roku 1885 ze stopniem doktora prawa kanonicznego, poczem uczęszczał jeszcze na ćwiczenia praktyczne w dziedzinie prawa do szkoły rzymskiej „Lo studio del Concilio di Trento". Po powrocie do ojczyzny, otrzymał w dniu 30 maja 1886 roku święcenia kapłańskie, a następnie nominacyę na wikaryusza parafii św. Andrzeja (przy kościele św. Karola Boromeusza na ul. Chłodnej), oraz na defensora Sakramentu małżeństwa i prokuratora fiskalnego. Już jednak w roku 1887 władza duchowna skierowała ks. dra Kakowskiego na drogę działalności profesorskiej, powierzając mu ważne zadanie kształcenia w seminaryum metropolitalnem warszawskiem



Rada regencyjna: Ks Zdzisław Lubomirski.

przyszłych kapłanów polskich. Wykładał kolejno: prawo kanoniczne, homiletykę, literaturę polską i teologię pasterską. Prócz tego otrzymał w roku 1897 nominacyę na asesora kuryi arcybiskupiej. W roku 1898 objął stanowisko regensa seminaryum metropolitalnego warszawskiego. Na stanowisku tem przebywał przez lat 12, pełniąc jednocześnie obowiązki rektora kościoła św. Józefa Oblubieńca. Władza duchowna w uznaniu zasług, położonych dla Kościoła, mianowała go w roku 1893 kanonikiem honorowym warszawskim, w roku zaś 1901 kanoni-



Z frontów bojowych: Atak granatami ręcznymi austryackiej kolumny szturmowej na rowy rosyjskie w Galicyi wschodniej. (Woj. kwat. pras.).

kiem gremialnym kapituły metropolitalnej warszawskiej. Akademia duchowna w Petersburgu przyznała mu w roku 1901 stopień doktora św. teologii. W październiku tegoż roku powołano go na stanowisko rektora tej wyższej uczelni katolickiej; w roku 1911 otrzymał godność prałata domowego papieskiego.

Po 27 latach kapłaństwa powołany zostaje przez stolicę apostolską w maju 1913 roku na osierocony przez śmierć ks. Wincentego Popiela tron arcybiskupi warszawski. Konsekracya na arcybiskupa metropolitę warszawskiego odbyła się w Petersburgu, w dniu 22 czerwca 1913 roku. Uroczysty ingres do archikatedry św. Jana w Warszawie odbył się dnia 14-go września 1913 r., do kolegiaty łowickiej zaś 28-go września tegoż roku. Zająwszy się wnet gorliwie archidyecezyą, w ciągu kilkoletnich swych rządów zwizytował liczne parafie i wydał szereg odezw i listów pasterskich do kapłanów i wiernych, udzielając im wskazówek postępowania, zwłaszcza w ciężkich czasach wojny światowej. Bierze stały i żywy udział w pracach społecznych. Z jego zapoczątkowania i pod jego przewodnictwem odbyła się w Warszawie w styczniu roku zeszłego konferencya księży biskupów, po której ukazał się list pasterski: „Biskupi polscy do ludu polskiego“.



Rada regencyjna: Józef Ostrowski.



Z frontów bojowych: Jeden z portów niemieckich, skąd wyruszyła wyprawa na zdobycie wyspy Ozylii. (Fot. Bufa).

Ks. Kakowski jest autorem wielu artykułów treści naukowej, przeważnie z zakresu prawodawstwa kościelnego w Polsce.

Książe Zdzisław Lubomirski, syn ks. Jana Tadeusza, znakomitego historyka, członka Rady wychowania publicznego i długoletniego prezesa Tow. Dobroczynności w Królestwie Polskiem, oraz Maryi z hr. Zamoyskich, pochodzi z linii dubrowieńskiej. W 1909 roku zaczął odgrywać poważną rolę w życiu publicznem i politycznem miasta Warszawy. Po wybuchu wojny, w sierpniu roku 1914, stanął na czele utworzonego wówczas Komitetu Obywatelskiego. Na tem stanowisku w krótkim czasie zyskał uznanie w szerokich masach ludności warszawskiej. Gdy w sierpniu 1915 roku powstał zarząd stołecznego miasta Warszawy, powołany został na prezydenta miasta Warszawy, na którem to stanowisku dotychczas pozostał. Zasługą jego jest zwłaszcza przezwyciężenie wielkich trudności, jakie Warszawa miała ze sprowadzeniem szeregu niezbędnych produktów z państw neutralnych. Staraniom jego zawdzięczać należy, że tarcia wewnętrzne w społeczeństwie zostały w wysokim stopniu złagodzone i że desygnowana przez Tymczasową Radę Stanu Rada regencyjna w tym składzie ma zapewniony najwyższy i bezsporny autorytet w kraju.



Najnowsze zdobycze techniki wojennej: Atak granatami ręcznymi. (Fot. Bufa).



Najnowsze zdobycze techniki wojennej: Oddział niemieckich żołnierzy, zajmujących się zakładaniem i wyrzucaniem min, przy pracy. (Fot. Bufa).

przy założeniu „Stronnictwa polityki realnej“ był jednym z najczynniejszych członków i jego pierwszym prezesem. Obecnie desygnowany na stanowisko członka Rady regencyjnej, zgłosił swe wystąpienie ze Stronnictwa polityki realnej, uważając, że względy lub węzły stronnicze nie powinny krępować pełnej niezależności wysokiego urzędu.

Intronizacya Rady regencyjnej ma nastąpić jeszcze w bieżącym tygodniu. Ceremonia ta odbędzie się z wielką uroczystością wobec przedstawicieli społeczeństwa z całego kraju i delegatów urzędowych. Ośrodkiem uroczystości ma być złożenie przysięgi i odczytanie w kościołach odezwy regentów do ludności kraju.

Najnowsze zdobycze techniki wojennej.

Sposób prowadzenia wojny w czwartym roku jej trwania jest zupełnie odmienny od dawnego. Można śmiało powiedzieć, że każdy dzień przynosi nowe wynalazki, które znajdują zastosowanie w strategii i czynią nowoczesną wojnę niepodobną do jej poprzedniczek choćby tylko z przed lat kilku lub kilkunastu. Umysł ludzki wysila się w tym kierunku, by wynajdywać nowe śmiercionośne narzędzia, a wszystko to dzieje się rzekomo w interesie pokoju, cywilizacyi i wolności narodów.

Do tego rodzaju wynalazków należą więc przedewszystkiem granaty ręczne, które okazały się

Józef Ostrowski urodził się w Maluszynie nad Pilicą, dnia 21. stycznia 1850 roku. Dziad jego, Wojciech, był w r. 1831 senatorem kasztelanem, ojciec, Aleksander, przy Andrzeju hr. Zamoyskim do r. 1861 wiceprezesem pierwszego sławnej pamięci Towarzystwa Rolniczego, następnie za reformy Wielopolskiego, gubernatorem w Radomiu i dyrektorem komisyi spraw wewnętrznych, a potem do końca członkiem pozostałej jeszcze Rady Stanu. Od roku 1874 do 1890 piastował obywatelską godność prezesaa Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Józef Ostrowski kończył gimnazyum w Warszawie, następnie wydział prawa i administracyi w szkole głównej przez trzy lata, czwarty rok już w uniwersytecie rosyjskim. Otrzymawszy w roku 1870 stopień kandydata praw po napisaniu rozprawy, „Moc prawna dowodu ze świadków w postępowaniu karnem“, na dalsze studya udał się za granicę, najprzód na uniwersytet berliński, a dalej na wydziały rolnicze w Halli i Hohenheimie. Po powrocie do kraju, zajął się gospodarstwem i przemysłem rolnym, które dotąd prowadzi. Przy zaprowadzeniu reformy sądowej w r. 1876, został pierwszym sędzią gminnym z wyboru w swoim okręgu, w roku 1900 radcą Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w roku 1906 jednym z sześciu członków Rady państwa w Petersburgu, których wybierało Królestwo. Obowiązek ten pełnił do roku 1910, będąc od roku 1907 prezesem Koła polskiego w Radzie państwa. Jesienią 1910 roku, wskutek zapadnięcia na zdrowiu złożył mandat poselski. W roku 1905



Z frontów bojowych: Niemieckie parowce przewozowe, gotowe do wyruszenia ku wyspie Ozylii. (Fot. Bufa).



Z frontów bojowych: Szkoci, wzięci do niewoli przez Bułgarów w Macedonii. (Woj. kwat. pras.)

bardzo skutecznym środkiem bojowym, zwłaszcza na niedaleką metę, więc przy atakach na nieprzyjacielskie pozycye. Każdy żołnierz, należący do oddziału szturmowego, jest w nie obficie zaopatrzony i robi z nich użytek, gdy się znajdzie w bliskości nieprzyjacielskich rowów strzeleckich. Rzuca je rękami po odpowiedniem nastawieniu zapalnika, używa się w tym celu także karabinów lub specyalnych małych armatek.

Obok granatów ręcznych szerzą spustoszenie w szeregach nieprzyjacielskich miny, zakładane w ziemi w pewnych miejscach, lub również wyrzucane przy pomocy różnych aparatów, niegdyś bardzo prymitywnie urządzonych, obecnie doprowadzonych do perfekcyi. Miny ziemne wybuchają przy pomocy elektryczności lub też uderzeniu lub nacisku na kontakt, połączony z zapalnikiem. Zwłaszcza na skalistym froncie włoskim zakładanie min połączone jest z ogromnemi trudnościami.

Najnowszym wynalazkiem wojennym, z którym w czasie obecnej kampanii spotykamy się po raz pierwszy, są miotacze płomieni. Są to urządzenia do wytwarzania prawdziwej powodzi ognistych strumieni, wyrzucanych na znaczną odległość. Pod ich działaniem pali się drzewo, topią się druty kolczaste, giną ludzie śmiercią prawdziwie męczeńską, ponadto zaś wywiązują się przytem kłęby duszących i gryzących gazów, zatruwających wokół powietrze i uniemożliwiających oddychanie. Jest to broń, można śmiało powiedzieć, ze wszystkich najstraszniejsza i najbardziej nieludzka, jak zaś twierdzą strategicy, bardzo skuteczna.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

21

— Czy pani chce się przeziębić śmiertelnie?

— Niech pana o to głowa nie boli! Dowidzenia. Idę!

Zmierzała ku drzwiom, ale ją chwycił tak silnie za rękę, że syknęła z bólu.

— Pani nie pójdzie! — rzucił rozkazująco.

— Właśnie, że pójdę! Kto mi zabroni?!

— Ja!

— Jakiem prawem?!

— Prawem znajomego pani i prawem rozsądnego człowieka! — powiedział zimno, ale nie puszczał jej ręki z gniotącego uścisku.

Energia Józi zaczynała słabnąć. Natomiast potęgował się w niej strach przed opóźnieniem i wzbierało rozżalenie.

— Proszę pana, niech mnie pan nie zatrzymuje!... Ja muszę wracać zaraz, natychmiast!... — mówiła, a łzy zaczynały już drżeć w jej głosie.

— To niepodobna!... Nie mogę się zgodzić, żeby się pani narażała na pewną chorobę!...

— Mnie nic nie będzie!... Ja zdrowa jestem, zahartowana!... — prosiła już prawie z pokorną minką.

— Opowiadanie arabskie!

— Nie!... Doprawdy... to dla mnie nie pierwszyzna... Ja szłam już w nocy w deszcz... przez błoto i to w jesieni... Nic mi się nie stało i teraz mi się nie stanie...

— Pani o świekrę tak chodzi? — zapytał, patrząc jej wprost w oczy.

— A o kogóżby?... — szepnęła. — Panie Julianie, proszę mnie puścić...

Pierwszy raz nazwała go po imieniu.

— Gdyby pan wiedział... — powieki Józi nerwowo zamrugały. — Ja muszę zaraz wracać!...

Łuniewski ujął teraz i drugą jej rękę, ale miękko, ostrożnie.

Obie te drobne rączki, które drżały w jego dłoniach, podniósł do ust i pocałował.

— Dobrze, biedne dziecko, dobrze... Wrócimy zaraz, ale nie piechotą... Przeziębić się maleństwu nie pozwolę...

Puścił Józine ręce i uchylił drzwi od „piekarni", w której zgromadzona była rodzina gospodarska.

— Proszę was, gosposiu, pozwólcie do nas, chcielibyśmy zapłacić i pożegnać się...

— To na taką psotę państwo pójdzie? — zdziwiła się kobieta, wchodząc. — Ady się na piekne ozdeszczyło!...

— Musimy wracać, ale nie chciałbym, żeby siostra zmokła... Mogłaby się przeziębić...

— To sie wie...

— Macie wy konie, gosposiu?...

— Gdzie zaś, proszę pana, konie!... Miałam, ale mi jednego na „foszpan" wzieni, a drugi padł!...

— Ale u sąsiadów przecież ktoś musi mieć konie?

— A juści, że są tacy, co mają...

— Ja chcę wynająć furę z parą koni do miasta. Zapłacę dobrze.

— Co też to panu w głowie!... — zawołała gospodyni. — Ktoby ta koniska gonił na taką chlapę!...

— Zapłacę, choćby sto koron!...

Gospodyni spojrzała zdumiona. Niedowierzanie odbiło się w jej oczach.

— Co pan powiadają?

— Mało jeszcze? Dam dwieście koron!... Macie!...

Sięgnął do kieszeni, wydobył portfel i podał ogłuszonej, ogłupiałej formalnie kobiecinie dwa nowiutkie stokoronowe banknoty.

Gospodyni nie wiedziała, czy ma do czynienia z waryatem, czy też z jakimś królewiczem z bajki.

Nie mogła się zdobyć na odpowiedź i ręki po pieniądze nie wyciągała.

Józia była nie mniej od niej zdumiona i zaskoczona. Szeroko rozwartemi źrenicami wpatrywała się w twarz Łuniewskiego, niezdolna wyrzec słowa.

Nie mogło się jej to pomieścić w głowie, aby ten człowiek naprawdę dla jej kaprysu i z troskliwości o jej zdrowie chciał wyrzucić tyle pieniędzy.

Coś podobnego nigdy jeszcze jej się w życiu nie zdarzyło i nawet nie myślała, żeby się zdarzyć mogło.

Nieprzyzwyczajona była do tego, aby ktoś dla niej tak bez rachuby trwonił pieniądze.

— Dlaczego nie bierzecie pieniędzy?... Czy jeszcze mało?!

— Matko Boska, co też pan wyrabia!... Ady do miasta nie więcej jak śtery kilometry... A ktoby miał sumienie teli pieniądz brać za taki kawałeczek!...

— Kiedy ja muszę mieć konie!...

— A to będą, będą, kie panu tak spieszno... Zaraz idę do sąsiada, co tu wedle naszej chałupy siedzi... Ale te drugie sto koron, to niech pan schowo... A do reśty, to się już układojcie z furmanem...

Gospodyni wyszła pospiesznie. Za chwilę słychać było jej głos, opowiadający coś bardzo prędko i bardzo żywo.

Potem umilkła i stuknęły drzwi.

Józia dopiero po odejściu gospodyni odzyskała mowę.

— Panie Julianie... — wyciągnęła do niego ręce.

— No co? — zapytał. Rąk jej nie pochwycił, ale najspokojniej przekładał jakieś zapisane kartki w portfelu.

— Pan dla mnie tyle... tyle pieniędzy...

— E! Niechże pani tylko nie przesadza! Cóż to znowu za taka straszna suma...

— Ależ pan musi być kolosalnie bogaty!... — zawołała z naiwną otwartością.

Uśmiechnął się.

— Kolosalnie bogaty, to znowu nie jestem, ale w każdym razie z każdym groszem liczyć się nie potrzebuję... Zarabiam zresztą, mam dobrą posadę i nie jestem zależny ani od mamy, ani od taty, ani od cioci...

Józia spłonęła rumieńcem. Zrozumiała docinek, a odeprzeć go nie umiała.

— Czy pan ma rodziców?

— Mam matkę, ale ona się do moich wydatków nie wtrąca... Ale otóż i nasza gosposia wróciła... Cóż, gosposiu, będą konie?

— Już, proszę pana, sąsiad zaprzęgo... Po wiedział, że nie weźmie, jak pięćdziesiąt koron.

— Pięknie. A teraz wy, gosposiu, pożyczycie nam jakiej grubej chustki i derki... Dobrze?...

— Juści, że pożycę, bo trza panienkę jako osłonić... A i pan okryć się musi...

— O mnie to już mniejsza...

Łuniewski hojnie zapłacił gospodyni za mleko. Chciał też zapłacić za wypożyczenie derki i chustki, ale na to się kobieta nie zgodziła.

— Dość mi pan za mleko dał... Więcej nie wezmę... Niechta panience służy...

Józia nie wtrącała się do niczego, nie odzywała się wcale.

Miała minkę dziewczynki bardzo grzecznej, bardzo posłusznej i bardzo rozczulonej.

— Zostańcie z Bogiem! — rzekł Julian, kiedy mu gospodyni oznajmiła, że wóz czeka.

— Z Bogiem, państwo.

Julian otulił Józię starannie od głowy do nóg ogromną, grubą, zimową chustką.

Kiedy wyszli, wśród mieszkańców chaty powstało żywe poruszenie. Posypały się uwagi i komentarze.

— To ci musi być sielny bogocz!...

— Ale ma on też tę swoją siostrę za co, bo ma, że mu tych centusiów żal nie było... By sobie ona ino nóżków nie zamoczyła...

Siedmnastoletni wyrostek z rozwichrzoną, płową czupryną i zuchwałą miną wojennego wiejskiego „kawalira", zachichotał:

— Siostra tam!... Już ta nie rodzona musi być, ino przyrodnio, albo i całkiem cioteczno!... A wy wierzycie, że siostra!...

— Cicho, Franek — zgromiła go matka — tobie zawdy zbezeceństwa w głowie, co się ich po kolegach nasłuchasz!...

— Już ja wam mówię, mamusiu...

— Nie powiadaj byle czego, aby ci zaś ozór nie spuchł. Tak, czy tak, dobre jakieś ludzie i tyle!...

Na dworze zaczynało się już ściemniać. Deszcz padał wciąż. Przed chałupą utworzyła się mała kałuża deszczówki.

Józia przystanęła, ale zanim zdążyła się zastanowić, jak tę przeszkodę przeskoczy lub obejdzie, już ją Łuniewski, nie pytając o pozwolenie, pochwycił na ręce, jak dziecko.

Przebrnął w swoich żółtych „amerykanach" przez brudną wodę i śliskie błoto i doniósł ją na wóz, zdyszany, zmoczony deszczem, ale pogodnie uśmiechnięty.

— Dziękuję panu... Jaki pan dobry...

Łuniewski obejrzał siedzenie, czy dość wygodne, nasunął Józi chustkę głębiej na czoło i zawołał:

— Jedziemy, gospodarzu!

Konie ruszyły, rozchlapując błoto z pod kopyt.

— Pan nie ma żadnego okrycia... Pan się przeziębi...

— Głupstwo!... Ale pani wygodnie, ciepło?...

— Doskonale... Dziękuję... Bardzo pan dobry... bardzo...

— Pani Józiu...

Chciał mówić coś więcej, ale mu nagłe, nieprzezwyciężone wzruszenie zdławiło głos w gardle...

Wóz toczył się wartko gościńcem... Na niebie chmury zaczynały się przecierać i deszcz padał coraz drobniejszy...

— — — — — — — — — — — —

— Czy ty wiesz, gdzie ona była?

— Nie wiem, mamo — odpowiedziała Lola, siląc się na naturalny głos.

Intuicyą zakochanej i zazdrosnej kobiety odgadła, że Józia była z Łuniewskim.

— I nie wiesz, czy sama była, czy z kim?

— Nie wiem.

— Pomimo takiego ulewnego deszczu, nie zmokła wcale. Musiała gdzieś przeczekać burzę.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała córka, skubiąc frendzle obrusa.

— Wróciła już po ósmej!... Bezwstydna!... Bezczelna!... I to jest żona mojego syna!...

— Może jej mama zabronić tych spacerów...

Chytry uśmiech przewinął się po wargach pani Żarnickiej.

— Zabronić?... Bynajmniej nie mam zamiaru. Niech sobie chodzi, tylko trzeba wiedzieć, gdzie się włóczy i z kim... Bo, że tam jest ktoś, to więcej niż pewne...

— O jest!... — pomyślała Lola i przygryzła tak zębami wargę, że wystąpiła mała kropelka krwi.

— Czy mamusia napisze o tem wszystkiem Konradowi?

— Oczywiście. Już mu nawet coś nie coś pisałam. Niech wie, jaki dobry wybór zrobił... I pomyśleć, że on mógł dostać Izę Masławską!...

— Podła jest ta Józia, podła!... — wyrzuciła ze siebie Lola gorączkowo.

— A widzisz i ty się nareszcie przekonałaś!... No, ale idź już spać.

Lola podniosła się z krzesła.

— Dobranoc mamusi!

— Czekajno jeszcze chwilę. Powiedz mi, jak ci się podoba Koszczyc?

— Podoba mi się — odpowiedziała apatycznie panienka.

— Hm... hm... nie taki bogaty, ale i nie biedny... Nazwisko dobre... stanowisko przyzwoite... bardzo miły chłopak... Prawda?...

— Owszem, bardzo miły. — Głos Loli stał się jeszcze bardziej senny i apatyczny.

— No, nie mówię, żeby tak koniecznie... ale zawsze... Trochę wisus chłopak, ale można go ująć w karby... W każdym razie życzę sobie, żebyś była dla niego grzeczną.

— Dobrze, mamo.

Dziewczyna podniosła rękę do czoła, jakby tam ból jakiś uczuła.

— Co? Głowa cię boli?... To pewnie z upału. Idź już spać. Dobranoc.

Lola nie poszła prosto do swojej sypialni, ale podkradła się cichutko pod zamknięte drzwi pokoju swojej bratowej.

Chwilę stała bez ruchu, nadsłuchując.

Cicho było. Nie posłyszała z wewnątrz żadnego szmeru.

Twarz dziewczyny ściągnęła się brzydkim, nerwowym kurczem.

— Śpi już pewnie, albo marzy sobie o miłych przeżyciach dnia z nim!... Podła!... Jak ja jej nienawidzę!... Nienawidzę!...

Zatargała nią namiętna chęć, żeby wejść i zburzyć ten przyjemny nastrój, jaki podejrzywała u Józi...

Zrobić jej taką awanturę, żeby popamiętała ta żmija z oczami anioła!...

Już kładła rękę na klamce, ale zlękła się samej siebie i prędko, jakby ją kto gonił, uciekła do swego pokoju.

— — — — — — — — — — — — — — —

Lola myliła się, posądzając bratową o płoche marzenia i błogie uśmiechy zadowolonej próżności i kokieteryi.

Gdyby rzeczywiście otworzyła drzwi jej pokoju, zdziwiłaby się niemało. Przekonałaby się

że Józia nie tonie w różowych snach, nie uśmiecha się do miłych wspomnień i nie podziwia odbicia własnej urody w lustrze.

Zobaczyłaby, że młoda kobieta, nie zmieniwszy nawet ubrania, klękła i... modli się...

Modli się tak gorąco, że drżą pobladłe jej wargi, głowa chyli się nisko ku piersiom, a po policzkach spływają krople łez.

Józia wróciła do domu zdenerwowana, rozstrojona, miotana wewnętrznym niepokojem i niezadowoleniem.

Z przyczyn tego nie zdawała sobie jasno sprawy, czuła tylko, że jej coś dolega i że jest zła na siebie za dzisiejszy spacer.

Dlaczego?... Na to nie umiałaby sobie sama odpowiedzieć.

Nic się przecież właściwie nie stało, nic się nie zmieniło. A jednak... Głuchy niepokój nurtuje, niezadowolenie wzrasta...

I jest Józi na sercu tak, jak jej bywało wtedy, kiedy jako dziewczynka mała zbroiła coś, czego później serdecznie żałowała.

Przygotowana była, wracając, na awanturę. Spodziewała się wymówek, przycinków, obelg nawet.

Byłaby je przyjęła pokornie — bez słowa, cicha i skruszona.

Tymczasem pani Żarnicka wbrew wszelkim oczekiwaniom zachowała się bardzo spokojnie.

Kiedy synowa weszła do przedpokoju, obejrzała ją od głowy do stóp i nieokreślonym tonem rzuciła:

— A jesteś nareszcie.

I tylko tyle.

Strasznie się Józi zrobiło nieswojsko. Chwyciło ją przeczucie czegoś gorszego.

Wolałaby najbrutalniejszą awanturę, niż tę pogardliwą, niezwykłą tolerancyę...

— Kiedyindziej za byle głupstwo wymyśla mi, a dzisiaj... Naprawdę przecież trochę zapóźno wróciłam... I zresztą cały ten spacer... A ona nic... Co to znaczy?...

Joasia przyniosła „młodszej" pani kolacyę do jej pokoju, ale Józia nawet nie tknęła jedzenia.

Pomimo, że tyle godzin spędziła na świeżem powietrzu, wśród ruchu, nie miała wcale apetytu. Coś ją ściskało pod sercem i w gardle.

Rzuciła na stół niedbale kapelusz i przywiędłe kwiaty.

Nerwowym krokiem zaczęła chodzić po pokoju.

Po chwili zatrzymała się przed biurkiem, na którem stała duża, gabinetowa fotografia Konrada.

Z oczu Józi trysnął gorący, złoty promień.

Pochwyciła fotografię i przycisnęła rozpalone usta do chłodnego szkła, osłaniającego karton.

— Mój... mój... najlepszy... złoty... jedyny... On... tylko on... jestem podła... zła... głupia... Żarnicka ma racyę... Lola ma racyę... Nic nie jestem warta!... Boże mój! Boże!...

Gdyby w tej chwili zapytał ktoś Józię, o co się właściwie obwinia, nie zdołałaby tego określić słowami.

Rozpłakałaby się pewno tylko.

Nic złego nie zrobiła, a jednak serce mówiło, że w jej życie wplątało się coś, co wplątać się nie powinno...

Przycisnęła fotografię męża do piersi, do serca, które uderzało mocno i prędko.

I tylko to wiedziała, że kocha Konrada nad wszystkich i nad wszystko...

Że tak, jak wówczas, przed rokiem, gotowa za nim iść pieszo w burzliwą noc — na dolę niepewną, bez jutra, bez przyszłości...

A jednak... a jednak...

Postawiła fotografię szybko na biurku, bo zdało się jej, że ją zapiekła ręka, jak przy pożegnalnym uścisku Łuniewskiego.

Jakby posłyszała znowu jego słowa, wymówione cicho, dziwnie przejmującym tonem:

— Pani Józiu, kiedy się znowu zobaczymy?...

Odpowiedziała:

— Nie wiem... — a czuła teraz, że należało powiedzieć: — Nigdy!...

Wstrząsnął nią nagły gniew.

— Czego on chce odemnie?! Czego się czepia?!... Bo, że łaził dzisiaj za mną, to więcej niż pewne! No, damże ja mu, jak go tylko jeszcze raz spotkam, niby to „przypadkiem"...

Chciała się już rozbierać, chciała wyjąć broszkę z kołnierzyka i zadrasnęła rękę o kolce przypiętych do bluzki polnych róż.

Szarpnęła bukiecik i rzuciła go na ziemię...

Płatki róż rozsypały się u stóp młodej kobiety, jak różowe, martwe motyle...

Józi zrobiło się żal zniszczonych kwiatów.

— Co one winne?

Pochyliła się i podniosła jedną różę, która zachowała jeszcze w całości koronę płatków.

Kładąc kwiat do wody, do małego, kryształowego flakonika, pomyślała:

— I co on właściwie winien? Cóż złego zrobił?... Był dla mnie taki dobry, taki troskliwy... Nie zawahał się wyrzucić tyle pieniędzy, żebym ja się tylko nie przeziębiła!

Józię opuścił już gniew. Była tylko smutna i nie mogła jakoś uspokoić się w swojej wewnętrznej rozterce.

Podniosła oczy ku górze.

Nad łóżkiem młodej kobiety jaśniała słodka, cudna twarz Madonny Sykstyńskiej.

Poniżej, ujęta w proste, dębowe ramki, wisiała fotografia matki Józinej, na kilka miesięcy przed jej śmiercią robiona.

Bardzo smutne, cierpiące, dobre, łagodne oczy, zaklęte w martwy kawałek papieru, spoglądały nieruchomo na córkę.

Józia osunęła się na kolana i wzrokiem przez łzy zamglonym wpatrzyła się napzód w obraz Matki Bożej, a potem w fotografię.

Z serca i z ust jej popłynęły słowa gorącej, szczerej modlitwy:

— O Matko Boska! Panienko przeczysta!... Najlepsza... miłosierna... zlituj się nademną i na dobrą naprowadź mnie drogę! Nie pozwól mi błądzić... nie pozwól mi być złą... O! Boże, miej zmiłowanie... I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego... I ty, mamo moja, moja własna, rodzona, zstąp do mnie z nieba... Pociesz mnie, poradź, dopomóż! Bo nie wiem, jak mam żyć, gdzie iść, co czynić?... Mamo, opuściłaś mnie tak wcześnie, a mnie źle na świecie... Nie rozumiem sama siebie, a nie mam nikogo, coby mi do serca kochającym wzrokiem zajrzał... Mamo! Słaba jestem, ale nie chcę być złą... Nie chcę!... O mamo!... Prowadź, podtrzymuj... dopomóż...

ROZDZIAŁ XII.

— Aron Gelbfisz, skład rużnych towaruf — przeczytała Józia szyld.

— Aha, to tutaj.

Chwilę zawahała się, zanim wstąpiła na wyszczerbione schodki. Trudno było jednak stać na ulicy i namyślać się.

Zrezygnowana, pchnęła drzwi i wsunęła się w mroczne wnętrze sklepiku, ściskając w dłoni pudełeczko, owinięte bibułką.

Młoda kobieta odetchnęła lżej, widząc, że w sklepie niema nikogo oprócz żyda z długą siwą brodą w jarmułce, w którym domyśliła się właściciela.

Gelbfisz na widok Józi podniósł się zwolna. Poznał synową Żarnickiej i zdziwił się, bo pani Żarnicka zwykle nic u niego nie kupowała.

W każdym razie jednak była to osoba, z którą liczyć się należało. To też żyd ukłonił się bardzo grzecznie i uprzejmie zapytał:

— Wielmożna pani sobie życzy?...

Józi ogniste rumieńce biły do twarzy. Gniotła w ręku bezradnie swoje pudełeczko i przez chwilę nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

— Ja... ja... mam do pana interes... — wyjąkała wreszcie.

— Interes?... jaki interes?...

Józia wyciągnęła ku niemu rękę.

— Słyszałam, że pan... ja chciałam to zastawić...

Wyraz zdumienia odmalował się w wypukłych oczach sklepikarza. Jakby nie dowierzając własnemu słuchowi, zapytał znowu:

— Co?... jak?... Zastawić?...

— Tak! — odpowiedziała cicho młoda pani Żarnicka — To jest broszka, którą chciałabym zastawić...

Pod siwym zarostem wąskie wargi Gelbfisza drgnęły ironicznym uśmiechem. Żyd zakołysał głową na obie strony, jak gdyby chciał powiedzieć: no!... no!...

— Zastawić... — wyrzekł po chwili trochę już lekceważącym tonem — Nu... Ja nie mam żaden lombard... Tak przez grzecznuść, to ja mogę komu wygodzić...

— Więc...

— Ja takie interesy nie robię w sklepie... Z taki interes to się idzie od tylu... Nu, niech pani idzie za mną... Zobaczymy tego zastawu czy un co wart, czy ja na niego mogę co dać...

Weszli za perkalową firankę, do pokoju w którym teraz Reginka czesała przed nadtłuczonem lustrem swoje czarne włosy i usiłowała ułożyć z nich kunsztowną, pretensyonalną „fryzurę".

Ogniste, czarne, o niebieskawych białkach oczy Gelbfiszówny spotkały się z cudnemi źrenicami Józi.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, a Józia zarumieniła się jeszcze mocniej, zakłopotana obecnością tego nowego świadka swego upokorzenia.

— To moja córka — powiedział Gelbfisz — ja dla niej nie mam żaden sekret... Pokaż pani tego zastawu...

Reginka przestała się czesać. Grzebień oplątany pasmami wyczesanych włosów położyła na stole obok talerza z kiszonym ogórkiem i podparłszy brodę rękami przypatrywała się ciekawie zmieszanej, zarumienionej młodej mężatce.

Wiedziała równie jak ojciec, kto to jest, podziwiała nieraz piękność Józi i była teraz niepomiernie zdumioną.

Młoda pani Żarnicka przychodzi pożyczać pieniędzy na zastaw od jej ojca!...

Dlaczego?...

Przypomniały się Regince jakieś strzępy opowiadań o małżeństwie Konrada Żarnickiego, o którem przez tydzień rozprawiały nawet wszystkie przekupki łykowskie.

Z tem większą więc ciekawością obserwowała Reginka bezceremonialnie młodą kobietę.

Gelbfisz wziął z drżącej ręki Józi pudełko, otworzył je i wyjął broszkę.

Przez długą chwilę oglądał klejnocik uważnie, krytycznym wzrokiem.

Spojrzał na próbę złota, ocenił piękność i wielkość perełek i turkusów i potarł broszkę o rękaw swego brudnego chałata.

Józia stała przed nim ze spuszczoną głową.

Żydowi podobała się broszka, ale zrobił pogardliwą minę.

— Nu, co to warte?... Nic...

— Jakto nic?...

— Tak, jak nic... Co ja na to mogę dać?... Najwięcej — to już dziesięcz korony...

Józia na wartości klejnotu nie znała się, zrozumiała jednak, że żyd broszkę za nisko ocenia.

Przyszły jej zresztą na myśl ostrzeżenia Larchówny... Postanowiła, że nie da się „obedrzeć".

Wyciągnęła energicznie rękę:

— Niech pan odda... To za mało, nie zastawię...

W głębi duszy drżała wszakże z obawy, że żyd rzeczywiście nie zechce dalej interesu...

Bo skądże weźmie pieniędzy?... Wydała już wczoraj ostatnią „szóstkę".

Ale Gelbfisz broszki nie oddawał.

— Co się pani potrzebuje tak spieszyć?... Nu, niech będzie moje ryzyko... ja dam piętnaszcze.

— I to za mało...

— Więcej nie mogę, na moje sumienie, nie mogę... Pani tyle nikt inny nie da... Bierze pani piętnaszcze?... No?...

Młoda kobieta walczyła ze sobą. Wziąć, czy nie wziąć?... Pieniądze były jej tak bardzo porzebne...

Reginka nie odwracała oczu od twarzy Józi.

— Tate! Gib jer mer!... — odezwała się nagle dziewczyna.

Gelbfisz ze zdziwieniem popatrzył na córkę.

Jeszcze mu się to nie zdarzyło, aby go Reginka nakłaniała do jakichś ustępstw w interesach pieniężnych.

Okazywała ona zawsze pod tym względem nieporównaną twardość, chciwość i nieustępliwość.

Niedarmo ojciec uważał ją za swoją prawą rękę i mówił o niej z rozczuleniem „a kiepele".

Taraz więc przyszło mu na myśl, że może broszka ma większą wartość, niż on osądził, i że Reginka poznała się na tem.

W każdym razie jednak po co dawać więcej, jeżeli widocznem jest, że ta głupia „siksa" weźmie i piętnaście.

— Mer?... — zapytał — Wus sagste Reginke?

Nie podejrzywał ani na chwilę, że dziewczyną kieruje coś innego niż chęć zysku...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z życia uchodźców w Choceniu.

Dnia 29. zeszłego miesiąca odbyło się w Choceniu uroczyste zakończenie kursu buchalteryjno-handlowego, założonego dla uchodźców galicyjskich za zezwoleniem Namiestnictwa w Pradze, a za staraniem Zarządu baraków.

Kurs prowadził, zaproszony w tym celu z Krakowa, p. K. Zimowski, który uczył buchalteryi pojedynczej i podwójnej, oraz bankowej i nauk handlowych. Inżynier Jarosław Lipa wykładał stenografię, pisania na maszynie uczył oficyał Namiestnictwa z Pragi p. Jandera, a konwersacyi niemieckiej p. Zawadzka.

Na kurs uczęszczali panie i mężczyźni, młodsi i starsi wiekiem, a ukończyło go 45 osób. Frekfentanci przedstawiają doskonały materyał, jako siły pracujące w biurach i magazynach, tembardziej, że większa ich część ma poza sobą praktykę kancelaryjną przy rozmaitych działach Zarządu baraków.

Na uroczystość przybyło wiele interesujących się sprawami oświaty osób, jak: inspektor szkolny p. Jan Rąb z Pragi, inicyator kursu, imieniem Zarządu baraków komisarz dr. Pudlac, komisarz Woroszyński, ks. proboszcz Dudziak, ks. ruski Gullany, naczelny lekarz szpitala radca dr. Pelikan, dr. Madler, dyrektorzy szkoły polskiej i ruskiej p. Molisak i Stelmach, nauczyciele, wielu urzędników i innych osób.

Inspektor szkolny p. Rąb wyraził wykładającym naukę uznanie za owocodajną pracę i podniósł w przemówieniu niezwykłą w tych czasach potrzebę nauk handlowych, oraz podziękował w gorących słowach Zarządowi baraków, t. j. poprzedniemu naczelnikowi, sekretarzowi Namiestnictwa w Pradze p. Klepszowi, obecnemu naczelnikowi, komisarzowi p. Mallemu i komisarzowi dr. Pudlacowi za ich niezwykłą życzliwość dla spraw oświatowych na terenie baraków choceńskich, oraz za jaknajchętniejsze popieranie i załatwianie spraw odnoszących się do kursu handlowego.



Najnowsze zdobycze techniki wojennej: Wybuch miny na terenie walk w Tyrolu (Woj kwat. pras.)



Z frontów bojowych: Austyacki latawiec, który pomimo zepsucia się motoru, powrócił szczęśliwie z wycieczki ponad linie nieprzyjacielskie. (Zdjęcie z frontu wschodniego.)



Odznaczenie „trzynastaków“. Ozdobienie medalami waleczności podoficerów i żołnierzy drugiego batalionu 13. pułku p. na froncie.



Z życia uchodźców w Choceniu: Kierownicy i uczestnicy kursu handlowego. 1) Naczelnik zarządu baraków, kom. Mally. 2) Kom. namiest. w Pradze dr. Pudlac. 3) Kierownik kursu K. Zimowski. 4) Nauczyciel F. Jandera.

Imieniem Zarządu komisarz dr. Pudlac podziękował prof. Zimowskiemu za wydatną pracę, o czem się naocznie przekonał i wręczył mu uznanie i podziękowanie na piśmie, a najpilniejszym uczestnikom kursu w liczbie ośmiu sprawił miłą niespodziankę, bo jako premie wręczył im asygnaty na suknie damskie i ubrania. W imieniu uczestników kursu przemówił p. Pękala, składając p. Zimowskiemu w upominku zbiorową fotografię. Po rozdaniu świadectw goście oglądali bogatą wystawę prac buchalteryjnych i korespondencyjnych.

Nauka na kursie pozostanie na długo w pamięci uczestników kursu, bo jak twierdzili sami, była ona duchową rozrywką i okrasą jałowego życia na gruncie baraków choceńskich. Nie ulega wątpliwości, że sympatya, jaką cieszył się kurs u Zarządu baraków, składającego się przeważnie z czeskich urzędników, odbije się i u nas sympatycznem echem, czego najlepszym będzie dowodem, gdy szefowie biur i przedsiębiorstw pospieszą z pomocą uchodźcom, dając im u siebie sposobność do pracy i zarobkowania. Zgłoszenia w tym celu przyjmuje p. K. Zimowski, Kraków, ulica Tenczyńska 2.

Odznaczenie „trzynastaków“.

„Krakowskie dzieci“ trzynasty pułk piechoty, walczące tak dzielnie na wschodnim froncie, wiele już spotkało odznaczeń i zaszczytnych wzmianek, tak w urzędowych komunikatach, jak i w korespondencyach prywatnych pism codziennych. Wszyscy, tak swoi, jak i obcy, twierdzą jednozgodnie, że w czasie obecnej wojny złożyli oni tyle dowodów męstwa i rycerskości, iż rzadko który z pułków mógłby się czemś podobnem poszczycić. Każdy



Najnowsze zdobycze techniki wojennej: Miotacz płomieni przy pracy na zachodnim froncie. (Fot Bufa)

z „trzynastaków“, choć po raz pierwszy dopiero niedawno spotkał się z karabinem, to urodzony żołnierz, a śmiało rzec można, że, co drugi, to prawdziwy bohater. Znaną jest powszechnie rycerska fantazya Krakowiaków, ich humor i swoboda, oraz pogarda śmierci, z jaką idą zawsze na wroga.

Stawiają ich też powszechnie za wzór innym i nie szczędzą zewnętrznych oznak uznania pod postacią medali waleczności, które zdobią piersi bardzo wielu z pośród „krakowskich dzieci“.

Illustracya, zamieszczona w niniejszym numerze, przedstawia ozdobienie medalami waleczności szeregu żołnierzy trzynastego pułku, którzy odznaczyli się w czasie ostatnich walk na wschodnim froncie.

Z pod Czarnohory.

Mała mieścina podgórska, Delatyn, znana dobrze kuracyuszom z Jaremcza i turystom, zwiedzającym urocze pasmo Czarnohory, ucierpiała też wiele w czasie inwazyi rosyjskiej. I tu, jak i gdzieindziej, gdzie bawili ci nieproszeni goście, zostały po nich na długie lata smutne pamiątki „oswobodzicielskiej“ działalności. Kupy gruzów i zgliszcza świadczą dziś jeszcze o ich gospodarce, a liczne groby poległych przez długie lata przywodzić będą na pamięć te straszne chwile, jakie tutejsza ludność przeżyła.

Szkody, wyrządzone przez wojnę tak w budynkach rządowych (Delatyn posiada obfite źródła słone, warzelnię soli i łazienki solankowe wcale po europejsku urządzone), jak i prywatnych są bardzo znaczne, powoli przecież wraca tu życie na normalne tory, choć wiele jeszcze czasu upłynie nim wszystko znajdzie się w tym stanie, w jakim było przed wojną.

Położenie Delatyna przy linii kolejowej, wiodącej do Węgier, wygodne połączenia z Stanisławo



Z pod Czarnohory. Kościół rzymsko-katolicki w Delatynie nie uszkodzony wcale w czasie inwazyi rosyjskiej.

wem, Kołomyją, Czerniowcami i Lwowem rokowały miastu rychły rozrost i rozwój, zwłaszcza, że powietrze tu nie ustępujące w niczem jaremczańskiemu, nawet łagodniejsze, okolica prześliczna, a ponadto źródła solankowe mają bardzo wysoką wartość leczniczą i już przed wojną ściągały tutaj wielu kuracyuszy, zwłaszcza zwolenników spokoju i swobody, której trudno szukać w ożywionem w czasie sezonu sąsiedniem Jaremczu.

Miejmy jednak nadzieję, że po ukończeniu wojny złe się naprawi, a Delatyn rozwinie się, jak na to zasługuje.

Z frontów bojowych.

Gdy państwa koalicyi zapowiadają nową jeneralną ofenzywę na wszystkich frontach — wojska niemieckie tymczasem odniosły nowy sukces, który ma niewątpliwie doniosłe znaczenie dla przebiegu działań wojennych na froncie północno-wschodnim. Zajęcie wyspy Ozylii i Dago otwiera bowiem nowy





Z frontów bojowych: (Woj kwat pras.)

Kapelan wojskowy wśród ciężko rannych żołnierzy na włoskim froncie.

Gruzy kościoła w Ranziano, zburzonego przez nieprzyjacielskie granaty.





Skutki strzałów armatnich w najgęściej zabudowanej dzielnicy Delatyna **Z pod Czarnohory**: Gruzy domu w Delatynie, trafionego granatem

akt wojny światowej, który nazwać trzeba walką o Bałtyk, a który stanowi ważny krok przygotowawczy do stanowczego uderzenia na Petersburg.

Droga przez pojezierze estońskie wydawała się kierownictwu wojsk niemieckich widocznie zbyt żmudną, skoro nie prowadzono dalej pościgu po opanowaniu Rygi. Nowa linia rosyjska, którą wybudowano w Inflantach i która dalszy pochód niemiecki miała powstrzymać, została przez ostatnie zdobycze niemieckie zagrożona poważnie. Wojska niemieckie, wysadzone na ląd na wybrzeżu estońskiem, na południe od zatoki fińskiej, zmuszą Rosyan do szybkiego odmarszu w północno-wschodnim i we wschodnim kierunku, jeśli nie zechcą się dostać we dwa nieprzyjacielskie ognie, od południa i od północy.

Czy jednak wyłącznie strategiczny cel, w postaci pochodu na Petersburg, przyświeca nowej tej akcyi niemieckiej? Czy jest to operacya, mająca czysto wojskowe znaczenie, zmierzająca do wymuszenia pokoju na Rosyi przez zajęcie rosyjskiej stolicy? Dziwnie się zeszły z tym faktem wojskowym pewne zdarzenia i opinie o charakterze politycznym, z których właściwych zamierzeń domyśleć się można. Oto na przykład po zajęciu właśnie Ozylii pisze znany niemiecki pisarz kolonialny, Emil Zimmermann, w „Vosische Zeitung“, że Niemcy mają dla rozwoju swego dwie tylko drogi: otwartą drogę w kraje zamorskie lub ekspanzyę terytoryalną na wschód. Ponieważ droga za morza została przez Anglię zamknięta i nic nie wskazuje, by ją Anglia Niemcom chciała otworzyć z powrotem, mają Niemcy obecnie tylko tę drugą ewentualność: rozwój terytoryalny ku wschodowi. Tędy szedł już dawniej prąd kolonizacyjny niemiecki, od czasów mieczowego zakonu i filij Hanzy niemieckiej. Tędy zmierzają pragnienia niemieckie obecnie, co się uwidoczniło najlepiej w samorządzie, nadanym przy końcu września Kurlandyi, który z kraju tego wytworzyć chce ostoję niemieckiego życia na wschodniem wybrzeżu Bałtyku.

Ta skomplikowana akcya floty i wojsk lądowych, która w ręce niemieckie oddała obie zapory, stojące u wejścia do zatoki ryskiej, była konieczna, jeśli Niemcy w Kurlandyi czy Inflantach usadowić się



Z frontów bojowych Cmentarz wojenny 16 pułku strzelców („krakowskie dzieci“), założony staraniem pułkownika Hohenauera.



Z pod Czarnohory: Wspólny grób poległych pod Delatynem bohaterów.



Z frontów bojowych: Skutki ostrzeliwania katedry w Ostendzie przez angielską flotę w dniu 23 września b. r. (Fot. Bufa).

chcieli na dobre. Wyspa Ozylia i Dago były dostatecznie ufortyfikowane, by z nich panowaniu niemieckiemu na wybrzeżach sąsiednich ustawicznie można było zagrażać. Flota rosyjska od nich niejednokrotnie ostrzeliwała Niemców na wybrzeżu. Pozostawienie ich w ręku rosyjskiem odcięłoby więc Niemcom na tym brzegu Bałtyku wszelką komunikacyę z resztą niemieckiego wybrzeża, pozostawiając tylko wolną drogę lądową, drogę okolną i żmudną. Obie wyspy w ręku rosyjskiem zapewniały nadto rosyjskiej flocie panowanie na wschodnich wodach Bałtyckiego morza, coby zagrażało niemieckiej żegludze bałtyckiej ze skandynawskiemi krajami. Przez ten niespodziewany napad flota rosyjska, która nie próbowała nawet bronić swojej podstawy operacyjnej, wypchnięta została do zatoki fińskiej, może i botnickiej, gdzie ufortyfikowane niedawno wyspy alandzkie zapewnić jej mają bezpieczne asylum. Obręb panowania wojennej floty rosyjskiej, która została w czasie wojny wzmocniona poważnie nowemi wielkiemi jednostkami bojowemi i zasilona pomocą angielską w postaci łodzi torpedowych i nurkowych, w ten sposób zmniejszył się znacznie.

Stąd więc pochodzi niesłychane wrażenie, jakie nowa wyprawa niemiecka wywarła u sprzymierzeńców zachodnich Rosyi. Był to cios, zadany nie tyle Rosyi, ile raczej Anglii, którą drażni wszystko, co tylko nie przyczynia się do umniejszenia siły Niemiec na morzu. Anglia podobno sama postanowiła wystąpić w szranki, wysyłając na pomoc Rosyi swoją flotę wojenną na wody bałtyckiego morza, bez względu na naruszenie neutralności Szwecyi, przez której wody przeciskać się trzeba do Bałtyku. Lecz Anglia wielkie przywiązywała znaczenie do samego istnienia floty rosyjskiej na Bałtyckiem morzu. Sama możliwość działań bojowych z tej strony trzymała w ryzach przedsiębiorczość floty niemieckiej, któraby walczyć musiała na dwa fronty: na morzu Północnem i na Bałtyku. Ten swój obowiązek szachowania floty niemieckiej na Bałtyku pojmowała Rosya poważnie, skoro w ciągu wojny wbrew wyraźnym postanowieniom traktatów i narażając się na ewentualność wojny ze Szwecyą, przystąpiła do ufortyfikowania wysp alandzkich, zapewniając sobie władztwo nad botnicką zatoką. Obecne milczenie floty rosyjskiej ujawniło, że w obrębie sił morskich Rosyi nie mniejszy panuje rozkład, aniżeli w obrębie sił lądowych. Mimo, że dostęp do zatoki ryskiej zasłany był minowemi polami, mimo, że wybrzeża wysp najeżone były paszczami dział dalekonośnych i że flota rosyjska znajdowała się



Z sali koncertowej: Pianista Emil Sauer.

w pobliżu, Niemcy nie tylko ważyli się na niebezpieczny atak, lecz wykonali go gładko i bez przeszkód. Przez zdobycie Ozylii i Dago flota rosyjska tak samo została wykreślona z rachunku, jak klęski letnie usunęły z kombinacyi wojennych lądową armię rosyjską.

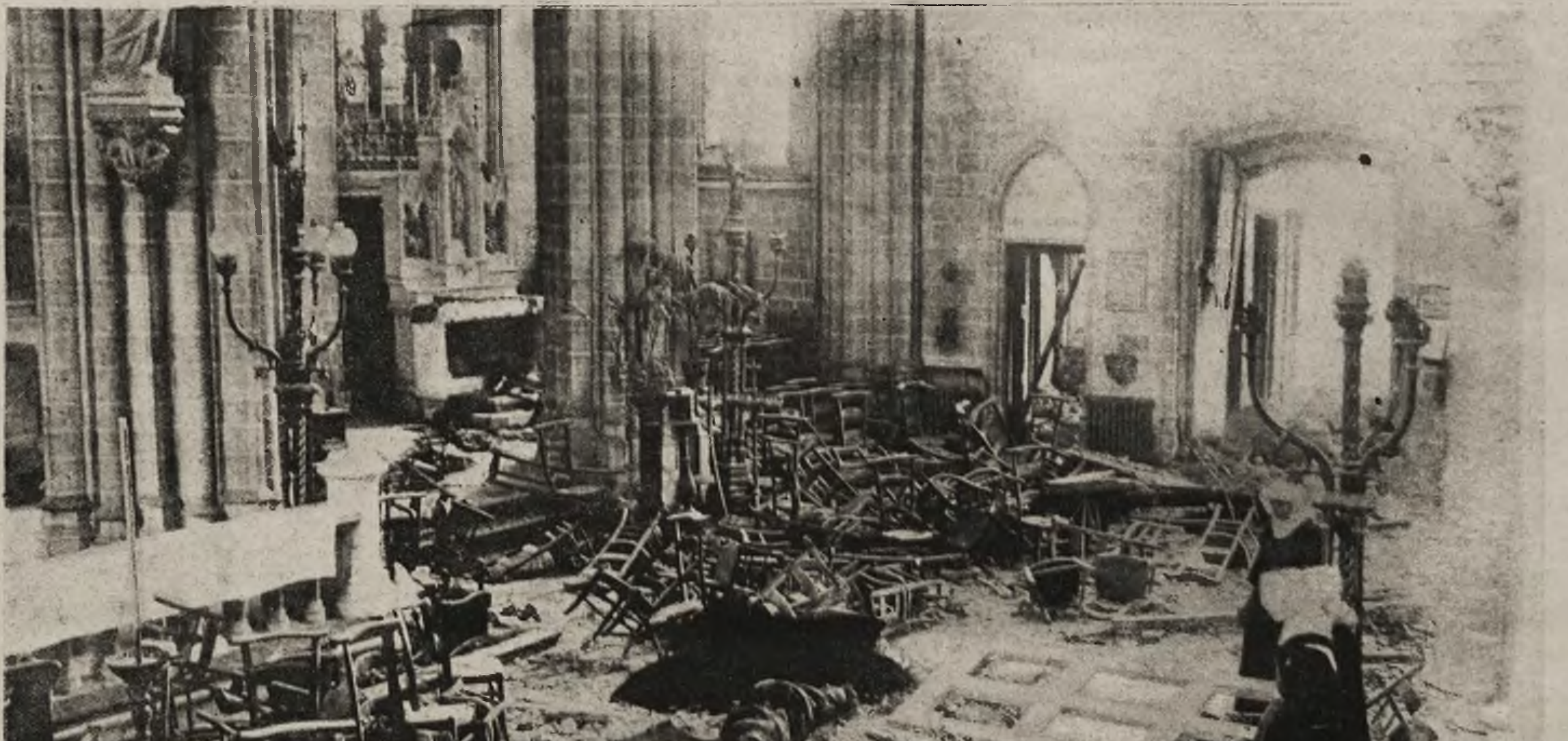
Na innych frontach sytuacya pozostała na ogół niezmieniona. We Flandryi Anglicy próbują wciąż szczęścia, a wszystkie ich ataki, dokonywane z wielkim nakładem środków technicznych rozbijają się o opór wojsk niemieckich. Tak samo pozostają bez rezultatu i wysiłki Francuzów, którzy swemi uderzeniami usiłują przyjść w sukurs Anglikom. W każdym razie pomimo rozbrzmiewających wciąż głosów pokojowych, na wszystkich frontach toczy się walka, nie wróżąca bynajmniej bliskiego końca wojny.

Z sali koncertowej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wśród najwybitniejszych pianistów, którzy od szeregu lat występowali w Krakowie, brakło dotąd tak niezwykłego artysty, jak Emil Sauer. Jest to niewątpliwie jeden z najświetniejszych pianistów doby współczesnej, którego pojawienie się na naszej estradzie koncertowej tem większe budzi zainteresowanie, że Sauer reprezentuje chlubne tradycye szkoły Liszta, którego był jeszcze osobistym uczniem. Jako wychowanek konserwatoryum w Moskwie, założonego przez Mikołaja Rubinsteina, u którego pobierał naukę, zasłynął Sauer zarówno z interpretacyi arcydzieł klasycznych, jak i kompozycyi nowszych, stąd Chopin, Schumann i Brahms mają w nim taksamo, jak Beethoven i Schubert mistrzowskiego wykonawcę, gdyż Sauer rozporządza i subtelnem, miękkiem uderzeniem i poezyą interpretacyi i tytaniczną siłą i świetną techniką pasażową.

Lecz nietylko jako interpretator, zachowujący wiernie linie dzieła, słynie Sauer; równe stanowisko ma on także, jako kompozytor; jego mistrzowskie utwory należą do repertuaru każdego wielkiego pianisty — niektóre z nich, najbardziej efektowne, znajdują się w programie koncertu krakowskiego, urządzonego przez „Krakowskie Biuro Koncertowe“ w niedzielę dnia 28. b. m. oraz lwowskiego w dniu 26. b. m.

Obecnie jest Sauer profesorem klasy mistrzów w c. k. Akademii muzycznej we Wiedniu, objąwszy to zaszczytne stanowisko po Leopoldzie Godowskim w chwili wybuchu wojny.



Z frontów bojowych: Wnętrze zrujnowanej pociskami angielskiej floty katedry w Ostendzie, pod której gruzami wiele kobiet i dzieci śmierć znalazło. (Fot. Bufa).

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

20

— Może — wycedził przez zęby stary archiwista, patrząc z boku na towarzysza — ale nikt nie uwierzy, aby tego rodzaju kobieta, jak Berta, dała się uwieść temu poczciwemu chłopcu, którego osoba nie była tego rodzaju, aby wzbudzić mogła nagłe porywy i szaleństwa. W tem usiłowaniu uwiedzenia go, był inny powód i przyznaję, że poznać go chciałem.

— Cóż więc pan uczynił? — zapytał zaciekawiony pułkownik.

— Szukałem go, — odpowiedział lakonicznie stary archiwista.

— I znalazł go pan?

— Jeżeli go nie znalazłem zaraz, to depesza, którą otrzymałem wczoraj od pana Durandeau. oświetliła mnie dostatecznie.

— Pan Durandeau oznajmił panu zapewne wyjazd swojego pełnomocnika?

— Jeszcze lepiej.

— Cóż takiego?

— Pan Durandeau doniósł mi o zniknięciu testamentu, o którego istnieniu powiedziałem panu, panie pułkowniku. — wyrzekł z naciskiem Cypryan Leduc, patrząc prosto w oczy swojego towarzysza.

— Ach! Czy być może?

— Z tego wynika, że pan skorzystał z mojego wyznania uczynionego w zaufaniu, aby wytworzyć kombinacyę, niszczącą zupełnie nadzieje wszystkie, które budowałem na sukcesyi Bonneta.

Przez chwilę pułkownik Robert cieszył się w całej pełni uzyskanym tryumfem.

— Mój Boże! — rzekł wkońcu — To rzeczywiście wielkie nieszczęście dla pana. Ale niech pan przyzna, że okazał się pan za mało ostrożnym, a nawet na człowieka tak poważnego i mądrego — bardzo pan lekkomyślnie postąpił.

Stary archiwista potrząsnął głową.

— Przyznaję to — rzekł tonem ironicznego żalu — ale to nie pierwsze głupstwo, które popełniłem w życiu... Ale do tej pory byłem zawsze na tyle szczęśliwym, iż mogłem je wszystkie naprawić.

— To powinno pana pocieszyć, bezwątpienia. Kto wie nawet, czy i teraz coś podobnego nie nastąpi. Może pan bowiem wyciągnąć jeszcze korzyść z niemiłego wydarzenia, które pan sam dobrowolnie wywołał.

— To już jest zrobione.

— Do dyabła! Umie pan działać szybko! Nie przypuszczam jednak, aby pan potrafił wejść w posiadanie aktu skradzionego panu Durandeau. — zaśmiał się ironicznie pułkownik.

— Nie pomyślałem, co prawda, o tem, bo ten akt wcale mnie nie interesował i nie potrzebowałem się o niego ubiegać!

— Oh! Oh! Pan sobie żartuje.

— Nigdy jeszcze nie mówiłem poważniej. Ale pozwoli pan, że mu zadam jedno pytanie.

— Proszę bardzo.

— To dziś rano, nieprawdaż, dostał pan do rąk ten testament?

— Tak, dziś rano.

— Przeczytał go pan uważnie?

— Oczywiście! Nie mogę przecież powiedzieć tak, jak pan, że mnie nie interesował.

— I nie zauważył pan w nim nic szczególnego? — wycedził powoli Cypryan Leduc.

Pułkownik objął go badawczem i głębokiem spojrzeniem.

— Zdaje mi się, że chce się pan dowiedzieć, czy testament był legalny i spisany po formie. — zapytał z lekką nieufnością — Ależ oczywiście, czy sądzi pan, że pozwoliłbym się wywieść w pole?

— Dobrze! Dobrze! Nie chcę nalegać. Ale zobaczymy, panie pułkowniku, kto śmiać się będzie ostatni.

— Co pan mówi?

Stary archiwista wzruszył ramionami.

— Pan bardzo źle postąpił względem mnie — wyrzekł poważnie — i powinienem za to czuć słuszny żal do pana, ale zaangażowany jestem w tej sprawie również silnie, jak pan i nie chcę się okazać zanadto niewyrozumiałym.

— Do czego to wszystko prowadzi? — rzucił niecierpliwie pułkownik.

— Zaraz, zaraz. Niechże się pan przedewszystkiem dowie, że znajdowałem się równocześnie z panem w Marsylii.

— Czy to możebne?

— Że nie potrzebowałem odgadywać celu, jaki tam pana sprowadził i że odrazu przewidziałem, że ten biedny Lambertin, omotany przez pana, da się pociągnąć aż do popełnienia zbrodni.

— Cóż dalej?

— Nie chciałem ażeby się tak stało, rozumie pan i chcąc dać panu nauczkę, na którą pan rzetelnie zasłużył...

— Cóż pan uczynił? Cóż pan uczynił do dyabła?! — zawołał, blednąc pułkownik.

— Uprzedziłem pana Durandeau — powiedziałem mu, że według wszelkiego prawdopodobieństwa ktoś usiłować będzie skraść z jego biura testament Bonneta, powierzony jego pieczy i... zastąpiliśmy ten autentyczny akt kopią, którą pozwoliliśmy panu zabrać.

— Pan to uczynił, pan? — zawołał zrywając się pułkownik.

— Tak, ja. — odparł skromnie stary archiwista — A rezultat jest taki, że akt, wręczony panu, nie ma żadnej wartości, że tyle ma znaczenia, co ćwiartka czystego papieru i że zadał sobie pan wiele niebezpiecznego trudu, bez żadnej korzyści. — kończył, uśmiechając się.

Śmiertelna bladość pokryła twarz pułkownika. Palce jego zacisnęły się kurczowo na poręczy altanki, oczy jego ciskały złowrogie błyskawice. Dziki jakiś pomruk wybiegł z jego piersi.

— Czy to prawda, co mi pan powiedział? — zapytał zduszonym głosem.

— Pan jeszcze wątpi? — odpowiedział spokojnie stary archiwista — Nie mogłem inaczej zrobić, to jasne, a pan nie powinien czuć żalu do mnie. Sprawa przedstawia się teraz w pierwotnej sytuacyi i niech mi pan wierzy, tak będzie jeszcze najlepiej. Testament istnieje, jest nienaruszony, a my znajdujemy się zawsze wobec spadkobiercy, którego usunąć trzeba. Czy to pan dobrze rozumie, panie pułkowniku?

Ale ten nie zdawał się słyszeć słów Cypryana Leduc. Gorączkowym i niespokojnym krokiem przebiegał altankę z głęboką zmarszczką na czole.

Leduc obserwował go z pod oka.

Wkońcu pułkownik, zaklą wszy z wściekłością, wybiegł na ścieżkę. Stary archiwista powstał i podążył za nim. Doszli tak do furtki prowadzącej na ulicę, gdzie pułkownik zatrzymał się.

— A ten spadkobierca? — zapytał, zwracając się do Cypryana Leduc — Któż on jest? Pan mi ukrył jego nazwisko, a ja chcę wiedzieć.

— Odkryję je, jak będzie potrzeba — odparł stary archiwista — Jeszcze nie teraz.

— Gdzież on jest.

— W Paryżu.

— A czy wie on, że należy się mu spadek po tym Bonnecie z Indyi?

— Nie wie nic jeszcze.

— Ale musi mi pan powiedzieć...

Pułkownik nie dokończył rozpoczętego zdania. W tej chwili bowiem powóz, zaprzągnięty w dwa przepyszne konie, zajechał wolno przed furtkę ogrodową. Siedział w nim w niedbałej pozie młody człowiek i palił papierosa.

Z piersi pułkownika wybiegł okrzyk zdziwienia.

— Ah! Ten młody człowiek! — zawołał — Tak, tak, jestem pewny, że się nie mylę.

— Pan go poznał? — zapytał stary archiwista, uśmiechając się.

— To on, przyjaciel Gilberty.

— Tak, to Jerzy.

— On już nie jest u pana?

— Opuścił moje biuro jeszcze przed miesiącem.

— Stał się więc bogatym, skoro tak łatwo porzucił pracę.

— Bardzo być może.

— Ale skąd spadł nagle na niego ten majątek? Nie wie pan?

Na twarz Cypryana Leduc wystąpił zagadkowy uśmiech.

— Widzi pan — rzekł — jak przypadek dobrze kieruje wszystkiem. Mówiliśmy przed chwilą o spadkobiercy Bonnet'a z Indyi i oto wyrasta przed naszemi oczami jak z pod ziemi. Czy to nie ciekawy zbieg okoliczności, panie pułkowniku?

— Pan chyba ze mnie żartuje! Więc ten młody człowiek...

— Ten młody człowiek jest tym, którego pan tak gorąco pragnął poznać.

— Ale jakim sposobem stać się to mogło?! — zawołał pułkownik

Cypryan Leduc uczynił jakiś gest tajemniczy.

— Wytłumaczę to wszystko panu — odpowiedział — tylko musi mi pan zaufać zupełnie, inaczej opuszczę pana i pozostawię swojemu losowi. Niech mi pan wierzy zresztą, to najlepszy środek do osiągnięcia celu, który ucieka panu z ręki. Czy zgadza się pan na to?

— Muszę, choćbym nie chciał. — mruknął niechętnie pułkownik.

— To bardzo szczęśliwie dla pana. Jestem bardzo zadowolony, widząc te dobre chęci pana i teraz mam niezłomną nadzieję, że nic już nie stanie na przeszkodzie naszym zamiarom.

— Jakież są one?

— Są bardzo proste. Gdyby pan był się nie pokusił działać bezemnie — być może, żebym dopomógł do usunięcia testamentu. Ale pan chciał poprostu podejść mnie podstępnie i oto teraz zabrnęliśmy na drogę bez wyjścia.

— Bez wyjścia?

— Nie całkiem. Aby wyjść z tej drogi, musimy usunąć tego młodego człowieka.

— Czy sądzi pan, że to mnie powstrzyma w działaniu — odparł pułkownik, zuchwale podnosząc głowę i patrząc zimno na towarzysza.

— Jestem przekonany, że nic pana powstrzymać nie jest w stanie. — wyrzekł z lekką ironią w głosie stary archiwista. — Dlatego też nie bawię się w żadne illuzye co do ważności chwili i sytuacyi, jaka się nam przedstawia. Sytuacya jest zresztą jasna: Bonnet umarł i pozostawił dziecko, któremu zapisał cały swój majątek. Ażeby zaś dalsi krewni mogli skorzystać z tego spadku, trzeba, żeby to dziecko znikło z powierzchni ziemi. A więc zniknie — oto wszystko.

— Kiedy? — zapytał pułkownik, pochylając się nad Cypryanem Leduc.

— Jutro, pojutrze, kiedy tylko zechcemy — odpowiedział tenże powoli.

— Jakiego użyjemy środka?

— Oh! Na to nie trzeba wielkiego wysiłku imaginacyi. Ten młody człowiek kocha się do szaleństwa w protegowanej pana, pannie Gilbercie. Ona również odwzajemnia mu się gorącem przywiązaniem. Łatwo więc bardzo ściągnąć go możemy której nocy do mieszkania pana w Belleville i tam rzecz już zakończymy.

— Rozumiem pana.

— A więc, jest to rzecz postanowiona, nieprawdaż? I więcej już mówić o tem nie będziemy. Teraz już muszę opuścić pana, ale dziś wieczorem, lub jutro, nie wiem jeszcze na pewne, zobaczę się z panem i weźmiemy się do dzieła.

— Pan już odchodzi.

— Tak, muszę, ale niech pan będzie przekonany, że przyspieszę, o ile będzie w mojej mocy, rozwiązanie tej sprawy, którą interesujemy się obydwaj. Rzecz, według mojego przekonania, zadługo się już wlecze i trzeba ją już raz zakończyć. Niechże więc pan ze swojej strony zobaczy się z Gilbertą i niech pan będzie dla niej względny i wyrozumiały. Przedewszystkiem niechże się pan postara o przywrócenie jej wiary w pana, którą musiała utracić i niech jej pan pozwoli cieszyć się nadzieją, że nie będzie się pan dalej opierał jej małżeństwu z Jerzym. To będzie najlepszy środek, aby ją dobrze usposobić dla pana.

— Uczynię to wszystko, co mi pan radzi — odparł z ożywieniem pułkownik.

— A więc dowidzenia!

— Dowidzenia!

Cypryan Leduc, nie podając ręki towarzyszowi, skłonił się lekko i wyszedł na ulicę.

Pułkownik zaś, idąc za jego radą, kazał się zaraz po jego odejściu zawieźć do Belleville, w celu pomówienia z Gilbertą.

Zastał ją w małym pokoiku zajmowanym przez nią którego okna wychodziły na ulicę. Siedziała przy oknie z książką w ręce, ale jej nie czytała. Spojrzenie jej zamyślone i smutne biegło w dal, w której majaczyły się kontury wysokich, wspaniałych domów Paryża. Łatwo zrozumieć, o czem myślała młoda dziewczyna i że patrząc tak uparcie ku miastu, wywoływała obraz Jerzego, o którym ani przez chwilę zapomnieć nie mogła.

Dawno go już nie widziała, od owej sceny nocnej z opiekunem i coraz cięższy smutek

ogarniał jej duszę. Rozumiała jednak, że dla własnego jego bezpieczeństwa nie powinna była starać się o potajemne widzenie się z nim, bo nie chciała go narażać na gniew pułkownika, którego obawiała się nadewszystko. Cóż jednak się z nią stanie, jeżeli ten stan potrwa dłużej? Jakim sposobem będzie mogła porozumieć się z Jerzym i zapewnić, że nie zmieniła się w niczem dla niego. Drżenie lęku ogarniało Gilbertę, kiedy sięgała myślą w nieznaną przyszłość.

Dręczyła się również rozpaczą Jerzego, czuła, że musi być bardzo nieszczęśliwy, a była sama tak bezsilną, że w niczem mu dopomódz nie mogła.

Było jeszcze i inne uczucie, które ogarnęło ją od pewnego czasu. Uczucie nieokreślone jakieś, jak gdyby wewnętrzne przeczucie, z którego nie zdawała sobie jasno sprawy, ale które przecież niepokoiło ją bardzo.

Zauważyła, spotkawszy się raz z pułkownikiem Robertem, że zmienił się ogromnie w stosunku do niej. Jego przywiązanie przeobraziło się w napady niewytłumaczonej czułości. Głos jego stał się bardziej pieszczotliwym i łagodnym, spojrzenie wymowniejsze i głębsze. Teraz, kiedy ujmował ją w ramiona i składał jak dawniej pocałunek na jej czole, Gilberta doznawała jakiegoś nieprzyjemnego uczucia zmieszania i obawy.

Cóż to mogło oznaczać? Młoda dziewczyna nie śmiała zgłębiać tego, co odczuwała i starała się odsuwać te myśli od siebie jak najdalej.

I tego dnia, kiedy siedząc przy oknie w swoim pokoju usłyszała kroki pułkownika, rozbrzmiewające po schodach, pozostała na miejscu, nie mając odwagi wyjść naprzeciw niemu, tak, jak to czyniła dawniej, w czasach, kiedy odnosiła się do niego z całkowitem zaufaniem i wdzięcznością.

Zwróciła tylko twarz ku niemu kiedy wchodził.

Pułkownik podszedł do niej, ujął jej rękę i złożył długi pocałunek na jej czole.

– Kochane dziecko – rzekł, siadając obok niej – tak dawno cię nie widziałem i stęskniłem się za twoim widokiem.

Gilberta milczała, nie mogąc słowa wydobyć ze ściśniętej piersi.

– Gdybyś wiedziała – ciągnął dalej wzruszonym głosem – jak przykro mi jest, że musisz wieść tak odosobnione i nieodpowiednie dla twojego wieku życie. Ale wiesz już, Gilberto, bo ci o tem nieraz wspominałem, że ten tryb twojego życia narzucony jest przymusowymi względami wielkiej wagi i znaczenia. Musisz być jeszcze cierpliwą czas jakiś, moje dziecko. Wierz mi, że przyspieszam całą siłą chwilę, w której będę mógł konkretną zmianę zaprowadzić w otoczeniu twojem.

– Ale ja się nie skarżę wcale! – wymówiła młoda dziewczyna, uśmiechając się smutnie.

– I jestem ci za to bardzo wdzięczny – odpowiedział pułkownik – tylko widzisz, moje dziecko, nie sądź, że jestem zaślepionym, ani niewrażliwym egoistą, a twoja rezygnacya i bierne znoszenie tej sytuacyi dotykają mnie więcej niż przypuszczać możesz. To też dziś, z prawdziwą radością przychodzę do ciebie, bo przynoszę ci wiadomość, która osłodzi ci napewne twoją samotność.

– Wiadomość? – powtórzyła Gilberta, otwierając szeroko oczy, w których zajaśniał błysk zaciekawienia.

– Tak jest.

– O cóż to chodzi?

– Posłuchaj tylko. Kiedy miesiąc temu spotkałem tu u ciebie tego młodego człowieka, którego już raz widziałem w Saint Mandé, nie mogłem, jak pamiętasz pewnie, oprzeć się odruchowi niezadowolenia i gniewu.

– Ach! Mój Boże, czy pamiętam! – wyszeptała Gilberta – Uczyniłam źle, napisawszy do Jerzego, on nie był temu winien tylko ja jedna!

– Nie! Nie! – zaprzeczył łagodnie pułkownik – Ani ty, ani on! Cięży na was tylko jedna wina, że nie mieliście do mnie dosyć zaufania, aby mi się zwierzyć ze wszystkiem. Zastanawiałem się nad tem dużo od tej chwili i przekonałem się, że w tej miłości, która zawiązała się pomiędzy wami, nie tylko nie było nic zdrożnego, ale przeciwnie jest ona zupełnie naturalną. Bo cóż temu uczuciu właściwie zarzucić mogę – nic zgoła!

– Ach, panie! Panie! – wyszeptała Gilberta, tłumiąc łzy.

– Posłuchaj mnie jeszcze, moje dziecko. Powiedziałem ci, że zastanawiałem się głęboko nad tą kwestyą i doszedłem do przekonania, że przywiązanie moje do ciebie uczyniło mnie egoistą. Ale teraz pragnę tylko twojego szczęścia, moja Gilberto, i jeżeli miałabyś je znaleźć w tem małżeństwie, w niczem ci już przeszkód stawiać nie myślę.

– A więc pozwala mi pan kochać Jerzego? – zapytała Gilberta z nagłym błyskiem radości w oczach.

– Nie tylko, moje dziecko, ale pozwalam ci widzieć się z nim kiedy zechcesz.

– Mój Boże! Naprawdę?

– Tak jest, Gilberto.

– Więc kiedyż będę mogła go zobaczyć?

– Powtarzam ci, kiedy zechcesz.

Impulsywnym ruchem, Gilberta pochwyciła rękę pułkownika i przycisnęła ją do ust, patrząc na niego z głębokiem wzruszeniem.

– Jesteś więc szczęśliwa? – zapytał serdecznie, przesuwając pieszczotliwie dłoń po jej włosach.

– Oh! Jaki pan dobry! – wyszeptała młoda dziewczyna ze łzami w oczach.

– A więc nie możesz czekać już dłużej. Pozostawię cię teraz samą, a ty napisz do tego młodego człowieka. Powiedz mu, żeby cię odwiedził jutro. Nie potrzebujesz już lękać się, że spotka go tu jaka nieprzyjemność. Sądzę jednak, że najlepiej będzie, jeżeli zjawi się wieczorem. Nieprawdaż moje dziecko?

– Uczynię tak, jak pan zechce! – odparła łagodnie młoda dziewczyna.

– A więc niech tu będzie koło godziny dziewiątej.

– Napiszę mu to.

– To dobrze. Jesteś dobrem i posłusznem dzieckiem. Proszę cię, Gilberto, nie wątp już więcej o mojem przywiązaniu i bądź dobrej myśli.

Młoda dziewczyna nie miała już siły odpowiedzieć, podała rękę pułkownikowi i podsunęła mu czoło do pocałowania, a kiedy oddalił się, upadła bezsilna na fotel, przybita wzruszeniem tak silnem, iż odbierało jej możność sądu i myślenia.

Tymczasem Jerzy powracał z przejażdżki po Lasku Bulońskim i wkrótce znalazł się w mieszkaniu swojem przy ulicy Cirque.

Wielka zmiana zaszła od miesiąca w życiu byłego pomocnika Cypryana Leduc.

W kilka dni po przykrej rozmowie, jaką miał z pułkownikiem Robert, stary archiwista zabrał młodego człowieka do swojego mieszkania i tam wyjaśnił mu, kim był właściwie, nie odkrywając jeszcze jednak przed nim całej prawdy.

Powiedział mu więc, że ojciec jego umarł, pozostawiając znaczny majątek, o który ubiegali się chciwi krewni. Ale Jerzy nie potrzebował się obawiać podejścia z tej strony, bo istniał testament spisany na jego korzyść i że ten testament nie może być w żaden sposób obalony. Jednakże Cypryan Leduc ostrzegł Jerzego, że powinien się mieć na baczności i stawiać odważnie czoło tym, którzy czyhali na jego majątek, a do tego dopomódz mu ma w wielkiej mierze zmiana nagła jego sytuacyi socyalnej. Stary archiwista postanowił więc odciągnąć Jerzego od jego dotychczasowego, skromnego zatrudnienia i postawić go w sytuacyi, któraby mogła zaimponować jego wrogom.

Młody człowiek niewiele zrozumiał z tych wywodów, ale wierzył bezgranicznie w prawość i mądrość swojego opiekuna i był gotów uczynić wszystko, co tylko ten zażąda od niego.

– Dał mi już pan tyle dowodów przywiązania i poświęcenia – rzekł do niego – że nie chcę się w niczem sprzeciwić panu. Jest tylko jedna rzecz o której wie już pan, której nie wyrzeknę się za żadne skarby i sukcesye świata.

– Tak, tak – przerwał, uśmiechając się życzliwie Cypryan Leduc – wiem, o czem myślisz, moje dziecko. O Gilbercie, nieprawdaż?

– Tak, o Gilbercie. Kocham ją i nie wyobrażam sobie życia bez niej.

– A któż ci każe wyrzekać się tej miłości? – zapytał stary archiwista, patrząc na niego z dobrocią – To, co ci teraz proponuję, może cię tylko zbliżyć do niej, a nie oddalić.

– A więc – rzekł z radością Jerzy – niech pan będzie przekonany, że pójdę ślepo za radami pana, nie starając się nawet zgłębiać ich przyczyn.

– Uczynisz zatem bardzo dobrze, moje kochane dziecko, a ponieważ nie mamy czasu do stracenia, od jutra już rozpoczniesz nowy tryb życia i zechcesz zapomnieć o dotychczasowym. Wynająłem dla ciebie ładne mieszkanie przy ulicy du Cirque. Jest tam stajnia i wozownia, w których znajdziesz parę doskonałych koni i powóz, które zwrócą uwagę wszystkich, kiedy się ukażesz w Lasku Bulońskim. Wszystko tam jest gotowe i czeka twojego przybycia. Służba twoja została przezemnie osobiście wybrana i mam nadzieję, że niczego tam brakować ci nie będzie.

– Ale cóż tam robić będę? – zapytał młody człowiek lekko zdumiony.

– Co tylko zechcesz.

– A Gilberta?

– Co do tego, mój kochany, musisz uzbroić się w trochę cierpliwości. Myśl o niej ile tylko zechcesz i kochaj ją tak, jak dawniej, ale czekaj aż do chwili, w której upoważnię cię do zobaczenia się z nią. Inaczej popsułbyś całą sprawę, pamiętaj.

– Oh! Ten warunek będzie ciężki do dotrzymania – westchnął Jerzy.

– Musisz się zdobyć na siłę woli, szczególniej, jeżeli ci zależy na jej spokoju.

– Skoro tak ma być, nie oponuję bynajmniej. Niech pan będzie spokojny, będę się zachowywał w taki sposób, że pan nie będzie miał mi nic do zarzucenia, zapewniam pana.

Już blisko miesiąc upłynął od owej rozmowy a Jerzy wiernie dotrzymał danej obietnicy.

Jednakże w dniu przejażdżki po Lasku Bulońskim, kiedy powracał na ulicę du Cirque, wspomnienie Gilberty jak żywe wyrosło w jego pamięci i Jerzy czuł się bardziej niespokojnym i smutnym niż zazwyczaj.

– Gdzież ona była teraz? – myślał – Co się z nią stać mogło, co z nią uczynił pułkownik Robert? Czy zachowała jeszcze pamięć o ich miłości?

Jerzy tego dnia nie mógł długo usiedzieć w domu.

Zjadł szybko obiad i wyszedł znowu, gdyż czuł konieczną potrzebę rozerwania przykrych myśli, jakie go opanowały. Byłby chętnie porozmawiał ze znajomym jakim człowiekiem, ale znał tu tylko Cypryana Leduc i Gilbertę. Machinalnie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, skierował się ku Belleville. Przecież nie uchybiał tem w niczem przyrzeczeniu danemu staremu archiwiście.

Nie szedł na spotkanie z Gilbertą – chciał tylko zobaczyć dzielnicę zamieszkaną przez nią.

Przeciw tej niewinnej rozrywce nikt nie mógł mieć coś do zarzucenia.

Kiedy doszedł do ulicy Pixecourt, noc już prawie zapadła. Nieliczni przechodnie snuli się po ulicach zapadających w zmroku; pasaż la Duée był pusty. Jerzy okrążył go kilka razy, ciesząc się tą samotnością, która dziwnie uspakajała jego wzburzone myśli.

Pomimo, iż nie przyszedł tu z żadnym planem lub nadzieją ujrzenia Gilberty, rozglądał się wokoło, jak gdyby w oczekiwaniu kogoś. Ale nic nie zwróciło jego uwagi. Chciał już obrać drogę powrotną do Paryża, kiedy zatrzymał się nagle przejęty dziwnym dreszczem.

Zdawało mu się, że ktoś za nim o kilka kroków, wymówił cicho jego imię.

Odwrócił się żywo i spostrzegł przed sobą okazałą postać starej Bruchon.

I ona również nie mogła ukryć zdziwienia.

– Ależ doprawdy, szczęście niezwykłe sprzyja panu! – rzekła, przybliżając się.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – zapytał Jerzy ze zdumieniem.

– A cóżby? Gdybym była pana teraz przypadkiem nie spotkała na drodze, byłabym poszła szukać pana aż do jego mieszkania.

– Pani ma mi coś do powiedzenia?

– Mam list do oddania panu – odpowiedziała stara, uśmiechając się wdzięcznie.

– Od kogo?

– Od Gilberty!

– Od Gilberty? Naprawdę od niej? Pani mnie nie zwodzi? – zawołał Jerzy.

– Co znowu?

– Oh! To niech pani daje, proszę bardzo.

– Oto jest, zdaje mi się, że pana ucieszy – odrzekła stara Bruchon, wyciągając z kieszeni kopertę, którą młody człowiek pochwycił szybko i rozerwał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Koło polskie a Rada regencyjna.

Koło polskie zgodnie z powziętą uchwałą wystosowało do Rady regencyjnej na ręce arcybiskupa Kakowskiego następujący telegram:

„Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup ks. Metropolita Aleksander Kakowski w Warszawie.

Prezydyum Koła polskiego w Wiedniu, ożywione nadzieją wskrzeszenia naszej ojczyzny, przesyła z okazyi wprowadzenia w urzędowanie Rady regencyjnej w Warszawie wyrazy szczerej radości i najserdeczniejsze życzenia wysokiej Radzie, aby danem jej było skutecznie przyczynić się do ziszczenia pragnień całego narodu".

Podpisani: Daszyński, Głąbiński, Goetz, Kędzior, Zieleniewski.

Depeszy tej jednak poczta wiedeńska nie przyjęła, tłómacząc się tem, że do obszaru zajętego przez wojsko niemieckie wolno wysyłać depesze tylko po niemiecku. Wskutek tego poseł Głąbiński i Kędzior postanowili, że nie nadadzą depeszy, ale tekst jej przesłali pocztą.

Rozwiązanie N. K. N.

W dniu 15. b. m. odbyło się posiedzenie N. K. N., na którem przyjęto następujące uchwały:

„Naczelny Komitet Narodowy uchwala rozwiązać się z chwilą powstania rządu polskiego i agendy swoje oddaje temuż rządowi. Do przeprowadzenia tego oddania, a w szczególności oddania Legionów, jako kadr armii polskiej, upoważnia N. K. N. swoją komisyę wykonawczą. Dalej upoważnia N. K. N. swoją komisyę wykonawczą do rozpoczęcia rokowań z departamentem spraw politycznych Komisyi przejściowej b. Tymczasowej Rady Stanu na zasadzie uczynionej przez niego propozycyi objęcia już teraz przez tę Komisyę biur informacyjnych zagranicznych N. K. N., celem przekazania ich rządowi polskiemu.

„Fundusze, które po zamknięciu pozostaną, uchwala N. K. N. przekazać rządowi państwa polskiego na cele opieki wojennej nad legionistami. Co do sposobu użycia tych funduszów zasięgnie rząd polski opinii prezesa Koła polskiego, murszałka krajowego, prezydentów miast Krakowa i Lwowa, tudzież prezesa Komisyi wykonawczej N. K. N. Komisya kontrolująca ma pozostać w dotychczasowym składzie.

Do komisyi wykonawczej zostali wybrani pp.: Dąmbski Aleksander, Downarowicz Stanisław, Dydyński Stanisław, Dzieduszycki Władysław, Federowicz Jan Kanty, Laskownicki Bronisław, Laskowski Kazimierz, dr. Habicht Ernest, Kosobudzki Piotr, dr. Mycielski Jerzy, Mycielski Edward, Ohly Ferdynand, Sare Józef, dr. Starzewski Tadeusz, dr. Słuszkiewicz Zdzisław, dr. Wereszczyński Antoni.

Prof. dr. Jaworski, wiceprezes N. K. N., zrezygnował „z powodu nadwątlonego stanu zdrowia", jak donosi „Nowa Reforma".

Uchwały powyższe zostały poprzedzone obradami posłów demokratycznych, odbytemi w gmachu magistratu. Demokraci większością głosów oświadczyli się za likwidacyą N. K. N. Wobec tego wszelkie próby utrzymania dalej N. K. N. były niemożliwe.

Oświadczenie Koła polskiego w parlamencie austryackim.

W toczącej się w ubiegłym tygodniu dyskusyi budżetowej w parlamencie austryackim imieniem Koła polskiego zabrał głos poseł Głąbiński, który, jak donosi telegram c. k. Biura korespondencyjnego, powiedział:

„Polacy trzymali się zawsze silnie programu odzyskania niezawisłej i jednolitej Polski i trzymają się go także teraz, naturalnie z polskiem wybrzeżem morskiem i polskim portem, co wszyscy mężowie stanu uznali na kongresie wiedeńskim. Jeżeli teraz istotnie będzie miało nastąpić pojednanie wszystkich ludów i państw, to musi też w myśl wywodów hr. Czernina być dokonanem także odbudowanie Polski. Kwestya polska, jako zagadnienie międzynarodowe, może być rozwiązana w jej całości tylko na drodze międzynarodowej, a więc na kongresie europejskim, lub światowym. Jesteśmy przekonani, że także minister spraw zagranicznych hr. Czernin żywi zapatrywanie, iż właściwe rozwiązanie kwestyi polskiej leży w interesie całej Europy, a także w prawdziwym interesie Austryi i dynastyi habsburskiej".

W dalszym ciągu przemówienia poseł Głąbiński podniósł, że od czasu wstąpienia na tron młodego monarchy w obszarach polskich, okupowanych przez Austryę, wiele się zmieniło, ponieważ monarcha okazał wyrozumienie dla spraw polskich. Tego nie można jednak powiedzieć o okupacyi niemieckiej, a także nie o całem Królestwie Polskiem. Mowca wpomina, że telegram z życzeniami Koła polskiego do Rady regencyjnej w Warszawie, nie mógł być nadany, ponieważ wygotowany był w języku polskim. Jest rzeczą dziwną, że tu w Austryi możemy w naszym języku telegrafować i korespondować, lecz nie możemy w tym języku telegrafować, a może także i korespondować do Warszawy, gdzie przecież istnieje już niezawisła Polska. Czy ma to być polskie państwo, w którem ma być uznany język niemiecki jako język komunikacyjny? Z faktu, że wyznajemy nasz narodowy, polityczny program, nie myślimy wy snuwać tu niepotrzebnych konsekwencyi, by czynić zawisłem nasze zachowanie się w Austryi pod względem politycznym.

Mowca omawia następnie przeprowadzanie rekwizycyi w Galicyi, przytacza szereg zażaleń i nadmienia, że stan ten ma powód w stosunkach nieprawnych i przeciwnych konstytucyi. Wskazanem jest, by rząd w stosunku do innych mocarstw, które miały do wypowiedzenia słowo w czasie wojny w naszym kraju, zachował jedność władzy państwowej i siłę. Rozumie się tu wojska obce, które przebywają w naszym kraju. Mowca wspomina o wywozie środków żywności z Galicyi w wagonach wojskowych. Koło polskie prowadziło w ostatnich czasach i prowadzi jeszcze z rządem rokowania, mające na celu doprowadzenie do normalnych stosunków w naszym kraju.

Co się tyczy kwestyi ruskiej, to Polacy byli zawsze i są za tem, by Rusinom była zapewniona ich narodowa egzystencya.

W końcu mowca wskazał na postulaty Polaków, wymienione w ostatnich uchwałach Koła i wyraził nadzieję, że rząd zaprowadzi stosunki w kraju naszym zgodne z konstytucyą, i że dotrzyma wobec Polaków swych zobowiązań.

Zwalnianie z wojska a Galicya.

Wniosiona przez posła Hallera, Götza i tow. interpelacya do prezydenta ministrów i ministra obrony krajowej w sprawie zwalniania od wojska i służby w pospolitem ruszeniu osób z Galicyi zawiera bardzo pouczającą statystykę co do zwolnień osób z Galicyi. W interpelacyi powiedziano, że na podstawie kontroli przeprowadzonej w marcu b. r. z 66 powiatów galicyjskich, których ludność wynosi 6,160.000 zwolniono lub do zwolnienia zaproponowano tylko 13 500, z tej liczby 6.400 zwolniono ze względów rolniczych, to znaczy zaledwie 0,22 procent ludności zwolnionej zostało, chociaż na przykład w przybliżeniu w samym Wiedniu cyfra zwolnień wynosi 115 000 osób. W tych 13.500 mieści się liczba wszystkich zwolnień ze służby funkcyonaryuszy powiatowych, gminnych, personalu zakładów gminnych, lekarzy, urzędników banków i tym podobnych. W dodatku z tej liczby zostało 400 osób już powołanych do pełnienia służby.

Interpelacya wskazuje, że obszar w tych powiatach wynosi 63 tysiące klm. kwadratowych. Zapytać więc trzeba, w jakim stosunku stoją zwolnienia w Galicyi do zwolnień w innych krajach monarchii i jak jest zasadniczo traktowana kwestya pozostawienia sił dla uprawy roli. Interpelanci zapytują, czy rząd jest gotów polecić organom podwładnym administracyjnym, aby jak najszybciej załatwiano podania o zwolnienia, ewentualnie przedłożyć w Izbie statystykę zwolnień wedle krajów koronnych.

W sprawie rządów niemieckich w Galicyi.

Jak donoszą pisma codzienne na posiedzeniu austryackiej Izby posłów wnieśli pp. Gall, Głąbiński i towarzysze następującą interpelacyę:

„W odzyskanej przy końcu lipca b. r. części Galicyi wschodniej, zwłaszcza w powiecie tarnopolskim i okolicy, wojska niemieckie bez porozumienia się z powiatowemi władzami politycznemi przywłaszczyły sobie częściowo należące się państwu prawa zwierzchnicze, aczkolwiek nie ma do tego widocznej konieczności, opartej na względach wojskowych.

„I tak w licznych gminach miejscowi komendanci zabronili wolnego przenoszenia się mieszkańców, tudzież wywozu środków żywności i innych towarów, zaprowadzili paszporty, wyznaczyli wysokie kary porządkowe za niesłuchanie samowolnych rozkazów, nałożyli rekwizycye wedle własnego systemu (jedna trzecia żniw) bez żadnej zapłaty i ogłosili jako zdobycz wojenną ruchomy majątek ludności.

„Wprawdzie austryackie władze polityczne i żandarmerya wedle możności udziela opieki mieszkańcom powiatu tarnopolskiego, ale w przeważnej liczbie wypadków są one bezsilne wobec przemożnej siły niemieckich komendantów, co ze sprawozdań do władz wyższych niewątpliwie wynika".

Interpelanci zapytują, co rząd zamyśla uczynić, ażeby przywrócić prawa zwierzchnicze Austryi w Galicyi.

Bielizna dla żołnierzy w polu.

(Komunikat.)

Jednym z najważniejszych wymogów utrzymania zdrowia w naszych stosunkach klimatycznych jest bielizna. Ona tworzy tę warstwę środkową pomiędzy skórą a wierzchniem odzieniem i jako taka przyczynia się z jednej strony do regulowania temperatury ciała i jest z drugiej strony przeznaczona do tego, aby wchłaniać wprost w siebie wyziewy i wydzieliny skóry. Po dłuższem noszeniu przesiąka bielizna temi wydzielinami tak dalece, że nie może już spełniać swego zadania i musi się ją wymienić na świeżą bieliznę. Każdy z nas odczuwa dobrodziejstwo zmiany bielizny na własnem ciele i czułby się z pewnością bardzo nieszczęśliwy, gdyby z powodu jakich niezależnych od siebie okoliczności był kiedyś zmuszony zrezygnować ze zmiany bielizny.

Wyobraźmy sobie teraz naszych bohaterskich żołnierzy w polu! Ludzie ci całymi tygodniami i miesiącami wystawieni są w rowach strzeleckich bez przerwy na oddziaływanie kurzu i brudu wszelkiego rodzaju, a ich bielizna przemaka nadto potem przy nadzwyczaj wytężającej pracy bojowej i z powodu gwałtownych ruchów ciała zużywa się, drze, zamienia się w strzępy. Jakąż rozkosz odczuwa żołnierz, jeżeli może tę zanieczyszczoną, przepoconą i podartą bieliznę zamienić na świeżą!

Zapotrzebowanie bielizny przez armie w polu jest ogromne! Dotychczas można było od biedy zaspokoić to zapotrzebowanie z zapasów zarządu wojskowego i wyrobami przemysłu, przy pomocy ofiar dobroczynnych chętnej do ofiar ludności. Obecnie jednak nadeszła chwila, w której wszystkie te źródła zaczynają zawodzić, w której wymiana zużytej bielizny i sporządzenie nowej z powodu wyczerpania materyałów surowych w państwie i odcięcia nas od zagranicznego handlu poczyna być niemożliwem. Mimo stosowania wszelkich możliwych surogatów przestanie być wkrótce możliwem dostarczenie walczącym żołnierzom tej tak koniecznej, tak niezbędnej bielizny.

W tej groźnej sytuacyi zwraca się Urząd pieczy wojennej Ministerstwa wojny z usilnem wezwaniem do ludności, aby z zapasów prywatnych złożyła na ołtarzu ojczyzny zbędne części bielizny i materyałów tkackich wszelkiego rodzaju, także części ubrania, w celu użycia ich do wyrobu bielizny dla naszych dzielnych wojsk. Któż mógłby być tak bez serca, aby chciał tej prośbie odmówić, któż nie przeszuka i nie przejrzy zaraz dokładnie wszystkich swych szaf, skrzyń i komód, aby wydzielić wszystko to, co jest choćby po części niepotrzebne i ofiarować te rzeczy dla naszych żołnierzy?

Szczególnie panie zechcą zająć się tą wielkiej wagi sprawą, gdyż one dzięki swojej znajomości rzeczy mogą najlepiej osądzić, coby z istniejących rzeczy można oddać na cel powyższy. Niechaj się nikt nie ociąga, tłumacząc sobie, że jego skromna ofiara nie zaważy na szali, niechaj każdy pamięta o prawdzie: „ziarnko do ziarnka a będzie miarka".

Niemniej pilnem jest pokrycie zapotrzebowania wszelakiej bielizny dla tych wielu tysięcy rannych i chorych żołnierzy w szpitalach, w polu i w głębi kraju. Dla nich jest bielizna ważnym czynnikiem do odzyskania zdrowia i zdolności do dalszej walki, do osiągnięcia zdolności do zarobku albo przynajmniej do wyleczenia się ile możności z ran i chorób.

Kronika tygodniowa.

Dzięki obecnej wojnie zmienią się więc i zasady tak zwanej „geometryi małżeńskiej". Popularnym był dotąd „trójkąt małżeński", mający trzy boki, dwa rodzaju męskiego (mąż i przyjaciel domu), jeden zaś żeński (żona). Trójkąt ten mógł się z czasem zamienić w wielobok, mniej lub więcej umiarowy, wzrastająca zaś ilość boków należała stale do rodzaju męskiego. Odtąd ma być zupełnie inaczej. Po skończeniu wojny trójkąt ma dalej pozostać, ale ulegnie tej zasadniczej zmianie, iż tylko jeden bok jego będzie należał do rodzaju męskiego, dwa zaś pozostałe przypadną drugiemu rodzajowi, to jest żeńskiemu. Czyli, innemi mówiąc słowy, gdy pokój nastanie, każdy mężczyzna, czujący się na siłach, będzie mógł pojąć dwie żony, by w ten sposób przyczynić się do zapobieżenia wyludnieniu. Będzie to pewien rodzaj świadczeń wojennych, do których obowiązani będą tak uznani za zdatnych do służby w pospolitem ruszeniu z bronią w ręku, jak i bez broni.

Niemieckie gazety już dawno o tem wspominały, że po ukończeniu wojny trzydziestoletniej, która ludność Europy porządnie przetrzebiła, widział się rząd niemiecki zmuszonym do chwycenia się tego radykalnego środka, na który się Stolica apostolska zgodziła, a wyniki były bardzo pomyślne, czego dowodem liczba ludności, z roku na rok wzrastająca. Ponieważ obecna wojna spowodowała daleko większy ubytek zjadaczy chleba, w interesie odbudowy kraju leży powtórzenie dawniej wypróbowanych i za skuteczne uznanych sposobów, nawet w jeszcze szerszym zakresie. Za zasadę więc nowej geometryi małżeńskiej mógłby być przyjętym, jeżeli już nie czworobok o trzech bokach żeńskich, to bodaj trójkąt, ale nie według starej normy.

Mógłby kto powiedzieć, że ludzkość cofa się w swym rodzaju, skoro, dzięki wojnie, wróciła do handlu zamiennego, a teraz do wielożeństwa, ale tak nie jest. To tylko chwilowe środki zaradcze, mające na celu naprawienie złego, które, po nastaniu normalnych stosunków, stracić mają swą ważność i wyjść z obiegu.

Ponieważ za pismami niemieckiemi powtórzyły i polskie dzienniki wiadomość o owem urzędowo uznanem wielożeństwie, zajął się niem i kronikarz „*Nowości illustrowanych*" i zastanawiał się nad tem, czy osiągnie ono spodziewane skutki, wyniki zaś swych roztrząsań miał zamiar pomieścić w pomnikowem dziele, o ile naturalnie znajdzie na nie nakładcę.

Wprawdzie rodzona jego połowica, czcigodna Weronika, wyczytawszy także o tem wzmiankę w jednem z pism codziennych, przerwała swój wypoczynek na wsi, i spadła, niby grom z jasnego nieba, by w porę jeszcze zaradzić złemu, to jednak kronikarza bynajmniej nie odwiedzie od powziętego zamiaru, zwłaszcza, że ma już w tym celu przygotowany i papier i atrament, a natchnienie autorskie przyjdzie samo ze siebie.

Przyznam się szczerze, że zrobiłem, jak to mówią, wielkie oczy, gdym ujrzał mą lepszą połowę, wchodzącą do mieszkania. Spodziewałem się jej powrotu dopiero z końcem miesiąca, zaraz też przyszło mi na myśl, że musiało zajść coś ważnego, co ją zmusiło do przyspieszenia powrotu. Wiem, że jest zapaloną wielbicielką pięknej polskiej jesieni, nawet z deszczem, błotem i zimnem, jak obecna, wiedziałem także, że, bawiąc na wsi, zajmuje się i aprowizacyą i skupuje zapasy artykułów spożywczych, gdzie może, by w ten bodaj sposób uchronić siebie i rodzinę od głodowej śmierci. Sam jej nawet posłałem z Krakowa kilka paczek fajkowego tytoniu, ułatwiającego bardzo pertraktacye handlowe na wsi.

— Nie spodziewałeś się mnie?... Prawda? — zawołała zaraz na wstępie, rzucając się mi całą pełnią swych wdzięków w objęcia.

— Oczywiście! — odparłem, ocierając nos i pióro, cierpię bowiem na katar (bardzo niewinna słabość, ale dotąd jej wiedza lekarska ujarzmić nie zdołała!...), a zajęty byłem właśnie pracą literacką. Spisywałem mianowicie bieliznę, by ją, w jej zastępstwie, oddać do prania.

Po powitaniu się serdecznem, jak przystało kochającemu się małżeństwu, zapytałem ja z kolei:

— I cóż, jeśli można wiedzieć, przyspieszyło twój powrót do Krakowa?

— Wielożeństwo!... — odrzekła, nie owijając bynajmniej w bawełnę. — Wyczytałam w *Kuryerku*, że po wojnie wolno będzie każdemu mężczyźnie mieć dwie albo nawet trzy żony, więc bałam się, byś, korzystając z mej nieobecności, nie przedsięwziął jakich przedwstępnych kroków... Żal mi było, to prawda, wyjeżdżać, gdyż mieszkanie do pierwszego zapłacone, ale trudno... spokój domowy przedewszystkiem!

— No, no!... Obawy były przedwczesne!... Ja zamierzam tą sprawą zająć się teoretycznie, a dopiero później przejść do praktyki...

— Ale ja na to nie pozwolę!... Ja nie zniosę drugiej pani domu pod swym dachem!...

— Uspokój się, mój kotku!... Po pierwsze, to ten dach nie jest twój, tylko gospodarza i jego wierzycieli, a, po drugie, muszę ci się przyznać, że od teoryi do praktyki bardzo daleko!...

— Ja ci nawet na teoryę nie pozwolę...

— Ciekawy jestem, dlaczego?... Czy nie będziesz zadowolona, gdy kilka tysięcy koron honoraryum autorskiego za me dzieło złożę na ołtarzu domowym?

— Co dziś znaczą pieniądze wobec zapowiadanej redukcyi?

— W każdym razie lepszy rydz, jak nic! Zresztą, moja droga, nasi sprzymierzeńcy, Turcy, mają po kilka żon i całkiem im z tem dobrze!

Usłyszawszy to, wydęła z politowaniem wargi rzekła uroczyście:

— Mój kochany, z ciebie byłby bardzo lichy Turek!

I tem jednem mnie zagwoździła, bo powiedziała to z przekonania, a nie dlatego, aby mnie urazić.

Jakiś czas myślałem przecież nad dobremi i złemi stronami wielożeństwa, choćby tylko do dwu połowic ograniczonego i doszedłem w rezultacie do przekonania, że, gdy na poczet *plusów* należy zapisać możność wzięcia sobie młodej żony, gdy się ma już starą, spokój domowy dla męża, gdyż odtąd żony będą się kłóciły między sobą, to na karcie „ciężarów" musi być uwidocznionem podwojenie wydatków na utrzymanie domu, zbyt ścisła kontrola każdego twego kroku, bo aż przez dwie pary oczu, co zaś najważniejsze... dwie teściowe!

I to ostatnie mnie przekonało. Dwie żony niech się kłócą między sobą, bylebym ja miał spokój (nadarzałaby się nawet sposobność wyjścia, by uciec „przed piekłem domowem"), gdzie je kilka osób, tam jeszcze jedna jakotako się pożywi, ale dwie teściowe, to już nad moje siły!...

Oświadczam więc uroczyście, że do wzięcia sobie za dozgonną towarzyszkę życia drugiej Weroniki żadna mnie siła nie zmusi. Choćby to nawet miało być podciągniętem pod świadczenia wojenne, w uporze wytrwam, bo... zresztą dość mam jednej żony.

Młodzi ludzie, to zupełnie co innego, ci mają wobec kraju swe obowiązki, my, weterani, po części zaś nawet i inwalidzi, wypełniliśmy już swą powinność i należy nam się dawno zasłużony wypoczynek.

Zresztą wielożeństwo dobre jest u ludożerców, ale nie u ludzi cywilizowanych. Takiemu panu nie podoba się żona, to ją zje i ma podwójny z tego pożytek, bo pozbył się kłopotu („Baba z wozu, koniom lżej") i zaspokoił głód, a ty, cywilizowany człowieku, staraj się dopiero o rozwód i płać słono za to adwokatowi.

Powie kto może: „podwójny posag"!... Ja mu znów na to odpowiem, że dziś pieniądz stracił zupełnie na wartości i kiep ten, kto się o niego stara.

Wobec tego wszystkiego muszę więc oświadczyć, iż wspomniane wyżej pomnikowe dzieło o urzędowem wielożeństwie już się nie ukaże, a i ja sam nie zerwę bynajmniej z monogamią, co może zmartwi niektóre z mych zwolenniczek i przyjaciółek politycznych, pragnących połączyć swe losy z moimi. Jak przez sen widziałem już u drzwi pokoju redakcyjnego cały ogonek kandydatek do stanu małżeńskiego z ofertami. Byłby to nieznany dotąd u nas „ogonek małżeński".

Dzięki jednak Bogu, obejdzie się bez niego, do grobowej deski pozostanę wiernym rycerzem mej jedynej Weroniki i ślubowanej jej raz wierności za żadną cenę nie złamię. Niechaj to jednak nikogo nie zraża, ja przemawiam tylko w swem własnem imieniu (i pod natchnieniem Weroniki!... przyp. zecera).

Gdyby kto chciał wiedzieć, kiedy nastąpi ogłoszenie urzędowe wielożeństwa za dozwolone, odpowiem mu, że po ukończeniu wojny, kiedy tego zaś można się spodziewać, to już nie wiem. Chyba po ogłoszeniu przez Wilsona nowej pożyczki wojennej w Ameryce, zapowiedziana bowiem na 24 października „wolnościowa" ma posłużyć tylko do pokazania światu, że Stany Zjednoczone gotowe są do wszelkich poświęceń, byle tylko wojnę skończyć, to jest potrzebują na razie pieniędzy na zbrojne wmieszanie się w konflikt światowy. Subskrybentów nie powinno braknąć. Amerykanie dość już na wojnie zarobili pieniędzy, część ich mogą więc złożyć w ofierze Molochowi wojny. Skoro zaś pożyczka „wolnościowa" ma być przeznaczoną na dalsze prowadzenie wojny, następna „wojenna" powinna być obrócona na cele czysto pokojowe.

Ciekawy jestem bardzo, czy i Kraków nie rozpisze jakiej pożyczki, dajmy na to „deficytowej", gdyż dowiadujemy się z bólem serca, że budżet miejski zamyka się deficytem czteromilionowym, czyli, że cierpi na niedomykalność. Ale to ma być objawem pocieszającym, świadczącym, że Kraków może być zaliczonym do rzędu wielkich miast. Wiedeń wykazuje deficytu kilkadziesiąt milionów, Lwów kilkanaście, Kraków może sobie pozwolić na kilka. Ta tylko mała różnica, że gdy Wiedeń na załatanie dziur budżetowych otrzyma wybitną zapomogę rządową, Lwów i Kraków pozostawiony będzie samemu sobie. Tak było z funduszem na zwalczanie gruźlicy. Inne kraje koronne otrzymały po kilka milionów, Galicya, gdzie suchotników jest najwięcej może, zaledwie mały ochłap i obietnicę, że może później, gdyż na razie brak.

Na bieżący tydzień przeznaczyła Rada miasta dyskusyę budżetową, co jednak u nas z zasady przechodzi bardzo spokojnie. Referent odczytuje pozycyę po pozycyi, radcy drzemią lub kiwają głowami i uchwalają, co im kazano, a gdy się któryś niepotrzebnie odezwie, słyszy zaraz głosy:

— Panie kolego! Niech się pan streszcza! Szkoda czasu... Już dziewiąta, a na mnie czeka żona z kolacyą...

Zupełnie inaczej jest w parlamencie. Tam uchwalenie budżetu, do czego potrzebną jest większość, oddana rządowi, daje sposobność wytargowania najrozmaitszych koncesyi, nic też dziwnego, że wszystkie stronnictwa starają się o to, by z niej skorzystać. Nawet i Koło Polskie, które obecnie jest bez głowy (widomej), kusi się o to, ale jakoś nie idzie mu to składnie. Jak powiada wiedeński korespondent jednego z pism, „brak informacyi rzetelnej o położeniu, przy wichrowatej linii działania, przybierać zaczyna w chwili obecnej — a właśnie sprawa budżetowa jest na tapecie — formy katastrofalne. W czasie od 27. września Koło Polskie podejmowało już trzykrotnie sprzeczne z sobą uchwały co do stanowiska wobec rządu, co jest objawem wprost niepokojącym".

Ot, zwykłe sobie galicyjskie „bezhołowie", z którego korzysta rząd i zbywa nas tylko obietnicami, a my przyjmujemy je jako brzęczącą monetę. A polityków mamy przecież nad Dunajem wielu i to lubiących często i dużo mówić, do których dałyby się zastosować słowa św. Pawła: „Tenci jest jako miedź brząkająca i cymbał brzmiący"...

Niestety, hałasu rzeczywiście wiele, ale pożytku z tego bardzo mało. Posłuszne woli wyższej, toczy się Koło zawsze tak, jak mu każą. Niemcom przecież i to się nie podoba, bo stale twierdzą, iż Galicya otrzymuje z zasady więcej, niż na to zasłużyła, bo to tylko kula u nogi monarchii. Gdy jednak rozchodziło się o jej wyodrębnienie, nagle tak ją pokochali, iż w żaden sposób nie chcieli się na to zgodzić, by się mieli z nią rozłączyć. Widocznie więc i ta biedna Galicya coś warta, skoro tak o nią zabiegają, *ergo* zasługuje na życzliwsze traktowanie.

Kilkakrotnie już wspominałem o tem, że pewna kasta ludzi, to jest ci, którzy zrobili już, robią i pragnęliby jeszcze dalej robić interesy na wojnie, życzyłaby sobie, aby ona nigdy się nie skończyła, ale zdystansowała swą długością nawet trzydziestoletnią. Dowodem tego post i modlitwa, nakazane przez zbór izraelicki na dzień 15. października, celem uproszenia pokoju. W synagogach były pustki, a większość wyznawców Mojżesza oddawała się obżarstwu, zmiatając katolikom z przed nosa nawet trefne przysmaczki. Było to niejako powtórzenie owego tańca, jaki w swoim czasie urządzili sobie biblijni Izraelici około złotego cielca. I dziś ten „złoty cielec" wybił się też na pierwszy plan i każdy prawie składa mu pokłony, nic też dziwnego, że końca wojny nie pragnie, bo wówczas z nadzwyczajnymi dochodami trzeba się będzie pożegnać. Pościli w owym dniu tylko ci, którzy pościć musieli, nie mając za co kupić sobie „papu", ale i oni myśleli nad tem, czy nie dałby się przecież zrobić jakiś dobry interesik, bodajby na małą skalę.

I nie dziwiłbym się wcale samemu sobie, choć do narodu wybranego nie należę, gdybym, przejąwszy się duchem czasu, zabrał się też do handlu. Mam nadzieję, iż poparliby mnie P. T. Czytelnicy, zwłaszcza, że kontentowałbym się małym zyskiem i w tym kierunku polecam się na wszelki wypadek ich łaskawej pamięci względom.

Na razie moje „operacye handlowe" w wojennym czasie ograniczają się do sprzedania starego, ale w każdym razie przedwojennego, więc w dobrym gatunku parasola. Nabywca nie był przecież zadowolonym, ani z „towaru", ani z ceny kupna, puścił go też zaraz w dalszą drogę, odsprzedając „z małym zyskiem" innemu znajomemu, który widocznie robi doskonałe interesy w tym ciężkim czasie, skoro sobie może pozwolić na taki zbytek, jak nabycie parasola. Widzą też z tego P. T. Czytelnicy, iż nawet tak niewinny przedmiot, jak parasol, może się stać przedmiotem handlu łańcuchowego i że „handlujących" u nas nie brakuje. Chcąc znaleźć jednostkę, która nie miałaby zamiaru zrobić interesu na wojnie, trzeba byłoby pójść w ślady Dyogenesa i w jasny dzień szukać jej z latarnią po mieście.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oto suty zając! Dym, kamień, gnaty.

Łamigłówka literacka.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego powieściopisarza

Reymont?
Sienkiewicz?
Orkan?
Zapolska?
Weyssenhof?
Prus?
Daniłowski?
Gruszecki?
Mniszek?
Przybyszewski?
Sieroszewski?
Orzeszkowa?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Goń po węgierki, słód, lapis i sól Wojtka na ganek.

Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Markiewicz, Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a n n r
r r r s
s t u z

Znaczenie wyrazów: 1. Lekarstwo. 2. Część maszyny. 3. Miejscowość na północno-zachodnim froncie 4 Zaimek

Szarada.
Ułożył S. I. Tarski, Kraków.

Kiedy Wam *pierwsze* ochoczo muzyka,
W *drugie wspak* chętnie i raźno idziecie;
Całość, rzecz straszna!... Setki ludzi zmiecie,
Gdy wśród przestworza na ślepo pomyka
I *pierwsze-drugie* (gdy wyrzucisz „g“ „t“),
Sprawia, gdzie padnie, przebiegłszy swą metę

Logogryf.
Ułożył R. Krampiński, Rakowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko znakomitego poety polskiego

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Zbrojne wystąpienie narodu 3. Barbarzyński szczep w wiekach średnich. 4 Ryby 5 Imię męskie 6. Szczep na Kaukazie 7. Szabla 8 Żołnierze, niezdolni do boju.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył R. Krampiński. Rakowice.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Kuba de Tolp, maruder, wykpi małe psy, kotki, oraz Nisz.

Łamigłówka.
Ułożył J. S. i A. M, Nagawczyna

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę jednej ze stolic europejskich

— an
— ra
— ur
— aj
— sa
— aj
— ak
— kt
— ół.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Daj mi raz tylko! Ja na łeb Kasi. Te są gnu Y

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego*: **Po ślubie.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 41.

Szarada: Niedostatek.

Trójkąt magiczny:

```
M a l c z e w s k i
A b d y k a c y a
L i z a n d e r
C e z a r e a
Z a w r a t
E l i z a
W o d a
S a n
K u
I
```

Zadanie do przestawienia: Prawda w oczy kole

Łamigłówka syllabowa: Bagdad
Antier
Jezioro
Ekwipaż
Czerkasy
Zedechjasz
Nansen
Algaja

Zadanie do przestawienia: Szydło zawsze z worka wylezie.

Krzyż magiczny:

```
          D K S
          o o a
          u m n
D o n a u M o n t
K o m u n i k a t
S a n m i c h e l
          o k h
          n a e
          t t l
```

Łamigłówka na czasie
O czem dziś mówią?

O wszystkiem i o niczem
A najwięcej, zda się,
Z zachmurzonem obliczem
O. podłym czasie.

Równanie:

Zatoczek + Pollux + Skałotocz = Zapolska.
Przedświt + Pieniądz + Kleparz = Przedpiekle.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, W. Mirecki Lwów, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń. S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, E. Bogdalska Koropuż, M Zaleska Przemyśl.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Sadowski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nakładem Wydawnictwa Instytutu Ekonomicznego N. K. N. wyszedł jako zeszyt XXII pierwszy tomik Biblioteki „Odbudowy kraju“.

Stanowi go praca *dr. inż. Bronisława Biegeleisena*, docenta pryw. Politechniki lwowskiej, p. t. **„Odbudowa Prus Wschodnich“**. Krótki rys organizacyi i dotychczasowych wyników. Kraków 1918. Odbitka z miesięcznika „Odbudowa kraju“.

Praca niniejsza — jak zaznacza Autor w swej przedmowie — jest tylko krótkim i pobieżnym szkicem, czerpanym z aktów urzędowych i publikacyi niemieckich. Zachęciło go do niej osobiste zetknięcie się z odbudową Galicyi i nader cenna książka dra Raczyńskiego „Odbudowa Prus Wschodnich i odszkodowania wojenne“, którą niejako uzupełnić pragnął ze stanowiska technicznego.

Temat bardzo aktualny, opracowany nader sumiennie, powinien więc zainteresować szerokie koła naszego społeczeństwa, zwłaszcza mające styczność z odbudową naszego kraju.

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

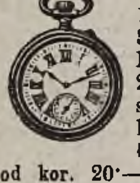
Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 331.**

Mimo wojny i kolosalnej drożyzny sprzedaje firma

IGNACY CYPRES,

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51



towary po nadzwyczajnie tanich cenach. 1 Brytania Anker-Remont. system Roskopf, 36 godz. idący, z łańcuszkiem kor. 17·50. Niklowy Gre Roskopf na kamienie koron 25·—. Srebrny Roskopf o 3 kopert., bardzo silny kor. 45·—. Stalowy damski Remont. kor. 35·—. Budzik najlepszy kor. 15·—. Łańcuszki srebrne od kor. 8·—. Harmonie od kor. 20·— do 80·— Skrzypce ze smyczkiem od kor. 14 do 50.

Cenniki darmo i opłatnie.

Różowe policzki



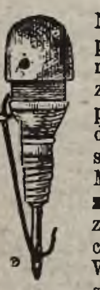
i usta naturalnej piękności po użyciu jedynie dobrej i zupełnie nieszkodliwej dr. A. Rixa **wody różanej** (do mycia). Nikt nie pozna, pomimo wspaniałego działania. 1 flakon K 3·—. Dyskretna wysyłka za pobraniem lub nadesłaniem należytości.

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie**: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4. **We Lwowie**: Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka Rafaela, ul. Goluchowskiego. Perfumerya Sladowskiego. **Tarnów**: Droguerya Bracha. **W Bielsku**: Drog. Polaczka, ul. Kolejowa. **Lublin**: Perfumerya Stankiewicza. **W Białej**: Drog. Tanewski.

Cud! Ręczne szydło tylko K 3·90.



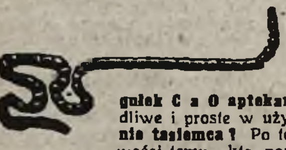
Nasze cudowne szydło ręczne daje ścieg jak prawdziwa maszyna do szycia. Największy wynalazek! Każdy sam może naprawiać, cerować, zeszywać wszelkiego rodzaju dywany, skóry, płachty do wozów, namioty, płaszcze gumowe do rowerów, worki, płótna i t. p. Dobrodziejstwo dla rzemieślników, gospodarzy i żołnierzy. Mocna konstrukcya, łatwa robota. **Gwarancya za trwałość.** Liczne listy dziękczynne. Szydło z 4 ro maitemi igłami, nićmi i sposobem użycia kosztuje **K 3·90. 3 sztuki K 11. 5 sztuk K 18.** Wysyłka za zaliczką. (Do pola i Królestwa Polskiego za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy)

M. SWOBODA, Wien III/2 Hiessgasse 13-31.



Pewny skutek. Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** — Stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. droguery etc. Próbna doza K 4·—, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 9·—. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-prep **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 35. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. K. Miklaszewskiego plac Dominikański. Bekner, Długa 4. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, ul. Krakowska. Apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sladowskiego. **Tarnów**: Drogueria Bracha. Bielsko: Droguerya Polaczka, Kolejowa. **Lublin**: Perfumerya Stankiewicza. **W Białej**: Drogerya Tanewskiego.

Tasiemiec



wraz z głową bez trudu szybko i pewnie usunięty zapomocą **pigułek C a O aptekarza Vértes'a.** Zupełnie nieszkodliwe i proste w użyciu. **Poczem poznaje się istnienie tasiemca?** Po tem, że sprawia rozmaite dolegliwości temu, kto posiada, jak: kolki i kurcze żołądkowe, uczucie parcia w trzewiach, jak gdyby kłęby cisnęły się aż po gardło, wiatry i upławy, sączenie się w kiszce stolcowej, napady zawrotów głowy, brak apetytu naprzemian z wielkim głodem, znużenie i niechęć do pracy, obfite wydzielanie śliny, gorzkie odbijanie się itp. Jako zewnętrzne oznaki należy wymienić: sino obwiedzone oczy, osobliwa bladość skóry, blada twarz, obłożny język, chudnienie, nadęty żołądek. — Przy zamówieniach należy podać wiek osoby. 1 puszka **C a O pigułek** K 9·30 franko (opłatnie). Do nabycia u **L. Vértes'a apteka pod „Białym Orłem“, Lugos 741, Banat.**

☞ **Żądaj wszędzie i prenumeruj „Przegląd Światowy“** ☜

miesięcznik, poświęcony wszystkim gałęziom wiedzy.

Około 1000 illustracyi i 120.000 wierszy druku rocznie.

Wychodzi 15-go każdego miesiąca. W krótkim czasie rozpoczynamy druk „Illustrowanej Encyklopedyi Podręcznej“ jako bezpłatnej premii dla Prenumeratorów „Przeglądu Światowego“. Prenumerata roczna kor. 40·—, półroczna kor. 20·—. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowa Górnicza, ul. Sienkiewicza 21.

Wschodnie perły

Marki „Orient“ są uznane jako najlepiej zastępujace prawdziwe perły! Nie do rozbicia! Masywne! Waga! Trwałość! Połysk! Gra farb! Połysk irysu jak prawdziwe perły. Najlepszy fachowiec (bez lupy) zwiedzie się. Ceny próbne! Hurtownie: kolia perłowa 1-szej jakości około 40 cm długa, perły od 2–5 mm, naprzemian lub równe 3 mm., barokowe albo okrągłe z prawdziwą szpinką K 35 Kulczyki (prawdziwa oprawa urzęd. cechowane) robota jubilerska K 25·—, z ogromnym kamieniem „Orient“, Simili – brylant K 30·—, śrubki K 20·—, szpilka do krawatu prawdziwa oprawa K 18, szpinki do manszetów prawdziwa oprawa K 20·—, z podwójnej strony perły K 30·—, broszka damska z perłami i brylantem Simili K 20·—, pierścionek, prawdziwa oprawa, modny fason z jedną perłą K 20·—, łańcuszek do lornetki 1-szej jakości, 3 mm, duże perły, długi 150 cm. K 100·—, długi 120 cm. K 80·—. Wysyłka za pobraniem. Porto K 1·— i więcej. Nieodpowiadajace prosimy zwrócić! Prospekty.

Orient Perlen Engros Wien II.

Praterstrasse 50/6. Stiege I.

Cudowna recepta

w dziale modnej kosmetyki szybkiego osiągnięcia olśniewającej piękności i młodzieńczego wyglądu — do otrzymania różowej śnieżno-białej cery i do usunięcia pryszczy, piegów, zajadów, plam, zmarszczek — jak również czerwoności twarzy i nosa – Wysyła się każdemu zupełnie darmo. Tysiączne listy dziękczynne. Skutek zapewniony. Proszę zwrócić się w zaufaniu do

V. JELINEK, Wien 66 Fach 37, Abt. 30

Uprasza się o porto.

Przybory do golenia

dobre i tanie poleca

IGNACY CYPRES

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51

Brzytwy po K 2·50, 3·50, 5 do 8. Aparaty do samogolenia 9 do 12 K. Pas do obciągania brzytwy K 2·50 do 3·50. Kamienie do brzytew K 3·50 do 4·50. Maszynki do włosów K 18.—. Dyamenty do szkła K 14·— do 20·—, Zapalniczki K 3·— do 7·—.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Instrumenta muzyczne

dobre i tanie poleca

IGNACY CYPRES

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51

Skrzypce ze smyczkiem K 20·—, 25·—, 30·— do 70·—. Futerały K 16·—. Harmonie w różnych gatunkach K 20·—, 30·—, 40·— do 90·—. Klarnety 5 klap. K 20·—, 8 klap. K 26·—, 10 klap. K 30·—. Trąby akordeonowe po K 6·— 7·—, 8·—. Harmonijki ustne K 2·50, 4·—, 5·50.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

Każda kobieta



czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

pielęgnowania biustu.

Cenne porady dla niemających biustu. — Piszcie z zaufaniem do

IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2, Oddział Nr. 10.

☞ **Nic nie kosztuje.** ☜

Kupuję i sprzedaję



złoto, srebro, brylanty, perły, wszelką biżuteryę nową i antyczną, zegary i zegarki oraz sztuczne zęby. Płacę najwyższe ceny.

Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

J. Cyankiewicz, ul. Sławkowska 24.

Administracya Nowości Ill.

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik“**
Wacława Grabiańskiego
cena 1 kor.

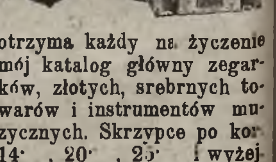
b) **„Po ślubie“**
Artura Gruszeckiego
cena 4 kor.

c) **„Piekło“**
Wacława Grabiańskiego
cena 3·50 kor.

d) **„Duch dziejów Polski“**
Antoniego Chołoniewskiego
cena kor. 2·50.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a, c, d,* 50 hal. dla *b)* 70 hal.

Bezpłatnie



otrzyma każdy na życzenie mój katalog główny zegarków, złotych, srebrnych towarów i instrumentów muzycznych. Skrzypce po kor. 14·—, 20·—, 25·— i wyżej. Dobra harmonijka kor. 16·— 25·—, 35·—, 50·—. Dwurzędowa harmonijka koron 70·—, 80·—, 100·—, 120·—. Trzech rzędowa harmonijka koron 180, 200, 240, 280. Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką lub poprzednim nadesłaniem pieniędzy przez

dom wysyłkowy

HANNS KONRAD

c. i k. nadworny dostawca Brüx, Nr. 1746 Czechy.



Zegarek kieszonkowy

stalowy lub niklowany

I. Sorta . K 14·— Z podwójną
II. Sorta . K 20·— kopertą . . K 40·—
Imit. srebra K 30·— Ze szkłem ochronnem K 2·—, Radium K 10·— więcej.

Precyzyjny zegarek K 50·—, 60·— i 80·—.



Zegarek z bransoletką

ze szkłem ochronnem

Duży format K 14·— | Mały format K 30·—
II. Sorta . K 20·— | II. Sorta . K 40·—
Ze szkłem ochronnem K 2·—, Radium K 10·— więcej.

Precyzyjny zegarek z bransoletką K 50, 60 i 80

Wysyłka z Wiednia za nadesłaniem należytości oraz 1 korony na porto. Także w pole.

MAX BÖHNEL

Wiedeń, IV. Margarethenstrasse 27/62.

Cennik za nadesłaniem 1 kor.

Kieszonkowa lampa dynamo K 24·— i K 30·—.

Najlepsze i najpraktyczniejsze

do przedstawień, tak na wsi, jak i w mieście są

JASEŁKA

X. Soleckiego. Całkowity tekst z nutami bez oprawy K 5·—, w ozdobnej oprawie K 7·50, porto K 1·—, do tego **nuty na małą orkiestrę K 3·—.**

Nakład Księgarni katolickiej **Dra Władysława Miłkowskiego** w Krakowie, ul. Floryańska 1.

Wystawa sztuki polskiej w Wiedniu

I. Jasomirgottstrasse 3.

boczna między Stefansplatz a Bauernmarkt

otwarta od godz. 10 przedpoł. do 6 popołudniu. Następujących artystów dzieła są wystawione.

Prof. T. Axentowicz, prof. J. Fałat, A. Grott, Vlastimil Hofmann, Wojciech Kossak, J. Męcina Krzesz, prof. K. Laszczka, prof. J. Malczewski, prof. J. Mehoffer, prof. Zygmunt Rozwadowski, prof. St. Rejchan, J. Skotnicki, W. Tetmajer, prof. J. Unierzyski, H. Uziembło, prof. Leon Wyczółkowski, Tadeusz i Zygmunt Ajdukiewicz, J. Brandt, Artur Grottger, Jan Matejko, Alfred Wierusz Kowalski.

Zbiorowa wystawa prac Vlastimila Hofmanna i H. Uziembły.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska Klisza własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego